II Światowy Kongres Obrońców Pokoju w Warszawie

Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

# NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron | Warszawa, 19 listopada 1950 r. | Nr 34 Rok I



JERZY ANDRZEJEWSKI

# Zwycięży młodość świata

Jakkolwiek od I Światowego Kongresu Obrońców Pokoju w Paryżu i Pradze dzieli nas zaledwie półtora roku, okres ten przyniósł wiele niezwykle doniosłych zmian w układzie sił międzynarodowych.

Imperializm amerykański od przygotowań wojennych przeszedł do aktów bezpośredniej agresji, a pierwszą ofiarą zbójeckiej napaści stał się naród koreański bohatersko walczący o swoją wolność. Faszyzowanie wewnętrznych stosunków w krajach kapitalistycznych, próby ujarzmienia przy pomocy policyjnego terroru klasy robotniczej, ucisk stosowany wobec przedstawicieli ruchu walki o pokój, podporządkowywanie ONZ polityce Waszyngtonu, montowanie sojuszniczych blokow o charakterze wojennym i agresywnym, wreszcie jawny kurs na odbudowę niemieckich, faszystowskich sił zbrojnych — oto fakty, które w sposób aż nadto wyraźny dowodzą, że kosmopolityczny kapitał czyni systematyczne przygotowania do wszczęcia III wojny światowej.

Z drugiej jednak strony obóz pokoju i demokracji ma do zanotowania na przestrzeni minionego półtora roku ogromne sukcesy. Dzięki osiągnięciom, możliwym jedynie w ustroju socjalistycznym przy planowej gospodarce socjalistycznej, wzrasta potęga gospodarcza, polityczna i kulturalna Związku Radzieckiego. Kraje ludowej demokracji, między nimi Polska, w oparciu o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim i jego pomoc, wypracowują u siebie pod kierunkiem swoich partii komunistycznych i robotniczych mocne podstawy gospodarcze dla ustroju socjalistycznego. Chiny Ludowe zakończyły wspaniałym zwycięstwem długoletnią wojnę wyzwoleńczą, stając się tym samym potężnym i realnym oparciem dla wszystkich ludów azjatyckich walczących teraz lub w przyszłości z uciskiem i wyzyskiem kolonialnym. Dzięki powstaniu Niemieckiej Republiki Demokratycznej część narodu niemieckiego w oparciu o zmieniony ustrój gospodarczy i społeczny została włączona do wielkiej rodziny narodów miłujących pokój, a przed całym narodem niemieckim zarysowała się możliwość zjednoczenia i wytępienia resztek haniebnej spuścizny hitlerowskiej. W tym samym okresie wzrósł na całym świecie do rozmiarów niespotykanych dotąd w dziejach ruch walki o pokój. Swiadczą o tym miliony podpisów zebrane pod Apelem Sztokholmskim w krajach kapitalistycznych i w tych krajach, gdzie, jak w Hiszpanii, Jugosławii czy Grecji, faszyzm chwilowo oficjalnie sprawuje dyktatorskie rządy. Za delegatami wszystkich narodów świata, którzy na II Swiatowym Kongresie Obrońców Pokoju zebrali się pod sztandarami wszystkich narodów świata, stoi ponad pół miliarda żołnierzy pokoju i wolności. Ta największa w historii armia nie prosi o pokój, lecz go żąda.

* * *

Przyjmując wybranych przez I Polski Kongres Pokoju członków Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju, towarzysz Bolesław Bierut powiedział między innymi: „Walka o trwały pokój, o zwycięstwo braterskiego współżycia między narodami — to najważniejsze zadanie obecnego pokolenia".

Te słowa naszego Prezydenta trafiły do umysłów i serc wszystkich Polaków, ponieważ dokładnie wyraziły to, co myśli i czuje każdy człowiek pracy w Polsce. Dlaczego naród polski chce pokoju i walkę o pokój uważamy w obecnej sytuacji międzynarodowej za „najważniejsze zadanie naszego pokolenia"? Odpowiedź na to jest prosta.

Znosząc wielowiekowy w naszej ojczyźnie wyzysk człowieka przez człowieka i budując podstawy dla ustroju socjalistycznego, usuwamy tym samym z naszego życia te wszystkie elementy, które państwom imperialistycznym każą szukać rozwiązania trudności ekonomicznych w wojnach napastniczych, w ucisku kolonialnym i w faszyzacji stosunków wewnętrznych. My naszych trudności ekonomicznych nie potrzebujemy rozwiązywać przy pomocy agresji. Rozwiązujemy je dzięki entuzjazmowi mas pracujących, dzięki naszym przodownikom pracy, dzięki wyższej niż w ustroju kapitalistycznym wydajności pracy. Sprawiedliwy rozdział wyższej niż przed wojną produkcji zapewnia naszym ludziom pracy wyższą niż przed wojną stopę życiową. Wzrasta u nas dobrobyt, budzą się w szerokich masach uśpione do tej pory na skutek nędzy i ucisku zainteresowania kulturalne.

Odbudowa Warszawy, podnoszącej się z ruin piękniejsza niż była, nie zagraża domom New-Yorku. Nasze wiejskie spółdzielnie produkcyjne, wyzwalające chłopa polskiego z tysiącletniego ucisku i ciemnoty, nie są niebezpieczeństwem dla wsi angielskiej czy duńskiej. Nasza rosnąca w stutysięczne miasto Nowa Huta pod Krakowem nie grozi zniszczeniem fabrykom szwedzkim i francuskim.

18 milionów Polek i Polaków, składając swoje nazwiska pod Apelem Sztokholmskim, stwierdziło tym samym, że naród polski nie chce wojny, natomiast miłuje pokój i chce trwałego, demokratycznego pokoju. Zgodnie z treścią Apelu, który wzywał do walki o pokój wszystkich ludzi dobrej woli bez względu na ich przekonania polityczne, filozoficzne i religijne, tysiąc trzysta delegatów na naszym Kongresie Pokoju we wrześniu br. reprezentowało całe polskie społeczeństwo. Księża katoliccy siedzieli obok partyjnych aktywistów. Robotnicy i rzemieślnicy przy uczonych. Chłopi przy artystach. Głosami swych delegatów przemówili wszyscy Polacy i głos wszystkich Polaków wypowiedział to samo umiłowanie pokoju.

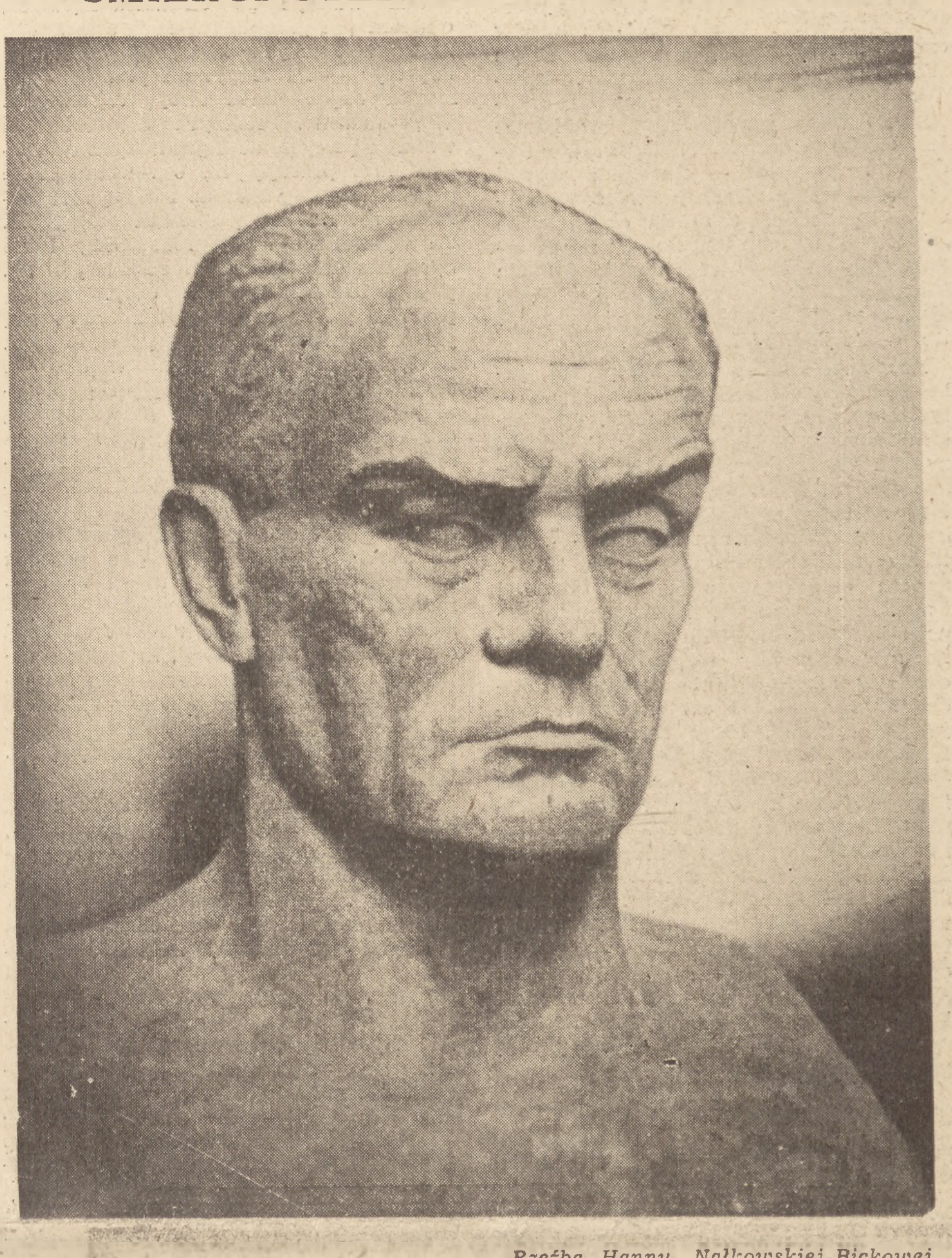
Naród polski zdaje sobie sprawę, że każda ponad normę wydobyta tona węgla, każdy pomysł racjonalizatorski i każde dzieło sztuki służące postępowi — są trwałym wkładem w międzynarodowy wysiłek utrzymania pokoju. Nie walczymy o pokój tylko dla siebie. To prawda, że walczymy o pokój dla naszych hut i stoczni, dla naszych wsi spółdzielczych, dla naszych szkół i książek, dla naszych matek i dzieci Ale walczymy również o pokój dla robotników kopalń chilijskich, dla robotników Włoch i Francji, o sprawiedliwy pokój dla greckich chłopów, o pokój wolności i sprawiedliwości dla tych wszystkich, którzy są uciemiężeni i wyzyskowi imperialistycznemu poddani.

Nigdy w dziejach ludzkości obóz postępu i wolności nie był tak silny jak obecnie i nigdy nie ożywiały postępu tak potężne, nowy świat kształtujące wartości. Nigdy również świat ginący nie był tak znikczemniały i nie chwytał się środków tak przewrotnych i podłych. Lecz spośród zawsze w świecie istniejących sprzeczności nigdy jeszcze bodaj niepodobna było tak, jak dzisiaj, wynieść niezachwianej pewności, że jakiekolwiek przed postępem wyrosną trudności i jakiekolwiek w walce o pokój trzeba będzie ponieść ofiary — nasza prawda zwycięży. Zwycięży człowiek — nie bestia, która jedną ręką potrząsa bombą atomową, a drugą workiem z dolarami. Zwycięży młodość świata — nie starczość przeżarta chorobami. Pokój zwycięży — nie wojna!

Z tym głębokim przekonaniem łączącym cały naród polski — kraj nasz powitał w Warszawie delegatów na II Swiatowy Kongres Pokoju.

**Jerzy Andrzejewski**

## W DWUDZIESTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI STEFANA ŻEROMSKIEGO



*Rzeźba Hanny Nałkowskiej-Bickowej*

*...Tak, bo już nie myślicielstwo gada przeze mnie, ale szary tłum głodnych, miażdżonych, odepchniętych od stołu. Więc komunizm?*

*Spóbujcie, wszyscy, wy najedzeni panowie, nie widzieć go tu, u nas w otchłani.* 25.5.1888

*Zdawało mi się, że „równość interesów" to frazes pusty, a teraz — nie powiem nigdy, że „wspólność" — to idea, warta życia i śmierci, bo to frazes. Z chłopów może być wszystko, z szlachty nic, a nic. Już mnie nie bolą, nie rozwściekają ich myśli, już ich nie zapisuję, bom już sobie powiedział, że są zerem...* 25.2.1889

*(STEFAN ŻEROMSKI — Pamiętniki)*

## Z WOLI AMERYKAŃSKICH BANKIERÓW

**Nowojorska plutokracja nie życzyła sobie, żeby na ziemi angielskiej rozległ się ostrzegający podżegaczy wojennych głos 500 milionów ludzi. I „socjalista" Attlee za pomocą nędznych sztuczek policyjnych uniemożliwił odbycie w Sheffield II Światowego Kongresu Pokoju. „Socjalista" Attlee, który każe angielskim żołnierzom prowadzić zbrodniczą wojnę na Malajach i w Korei, boi się obrońców pokoju, boi się międzynarodowej solidarności ludów przeciwstawiających się wrogiej pokojowi polityce imperializmu amerykańskiego. Trzeba było aż „socjalisty" na czele rządu angielskiego, żeby w obliczu całego świata, w tchórzliwy, służalczy sposób spełnić życzenie amerykańskich bankierów, którzy dzięki panu Attlee mogą dziś traktować ojczyznę Miltona, Byrona i Shelleya jak swoją kolonię !**

**Kongres obraduje w Warszawie. Z polskiej stolicy głos ludzkości, głos wolnych narodów i głos ujarzmionych jeszcze przez ludobójczy imperializm, dotrze tam, gdzie policyjnym terrorem daremnie chcą go zagłuszyć więksi i mniejsi podżegacze wojenni, ci z Waszyngtonu i ci z Londynu, amerykańscy businessmani i ich „socjalistyczni" prokurenci nad Tamizą.**

HENRYK MARKIEWICZ

# SPOJRZENIE NA ŻEROMSKIEGO

Data urodzin Żeromskie — rok 1864 — zbiega się z upadkiem ostatniego powstania i uwłaszczeniem chłopów w Królestwie; śmierć (20 listopada 1925) wyprzedziła o parę miesiący przewrót majowy. Przypadek więc sprawił, że daty życiorysowe pisarza wyznaczają zarazem chronologiczne granice problematyki górującej w jego dziełach. Nie ma na pewno w literaturze polskiej autora, którego twórczość tak wszechstronnie i czujnie odzwierciadlałaby losy narodu w pełni rozwoju kapitalistycznego i w dobie imperializmu, chociażby nawet to wszechstronne i wrażliwe zwierciadło nie zawsze umiało i mogło być zwierciadłem wiernym i trafnie orientującym.

Żeromski — inteligencki wychodźca z warstwy drobnoszlacheckiej, wystąpił na widownię literacką w ostatnim dziesięcioleciu XIX wieku, w dobie przerastania kapitalizmu w imperializm, umasowienia ruchu robotniczego w Polsce i rozbicia jego jedności przez wciskający się do jego szeregów nurt nacjonalistyczny.

W okresie imperializmu drobnomieszczaństwo traci wszelką samodzielność ideologiczną i twórczość Żeromskiego, choć bezpośrednio wyraża nastroje drobnomieszczaństwa, mieści się zasadniczo w granicach ideologii burżuazyjnej. Krytyka ustroju kapitalistycznego i pozostałości feudalnych w dziełach Żeromskiego wzmagała się w okresach ofensywy ruchu robotniczego i wrzenia rewolucyjnego na wsi — na procesy te pisarz wrażliwie reagował. Prowadzona jednak z pozycji drobnomieszczańsko - demokratycznych (a więc wewnątrz-burżuazyjnych), choć bardzo gwałtowna, nigdy prawie nie sięgała do podstaw ustrojowych kapitalizmu i dlatego nie prowadziła Żeromskiego do wniosków rewolucyjnych. Natomiast realistyczne obrazy wyzysku i ucisku mas pracujących, egoizmu i upodlenia wyzyskiwaczy, posiadały nieraz wymowę rewolucjonizującą — niezależnie od tego i wbrew temu, że sam Żeromski nigdy nie zajął klasowego stanowiska proletariackiego, nie wyzbył się zabarwionego nacjonalizmem solidaryzmu społecznego.

W początkach twórczości Żeromski blisko związany był z ideologią „Głosu", z którego szpalt rozbrzmiewały wówczas hasła ludowości i radykalizmu społecznego. „Głos" stał się z biegiem czasu kuźnią przyszłej ideologii endeckiej, przejściowo jednak znajdowały tu platformę poglądy radykalno-demokratyczne (Nałkowski) a nawet socjalistyczne (Krzywicki), pozbawione jednak centralnego zagadnienia marksizmu: nauki o rewolucji proletariackiej i dyktaturze proletariatu. W polityce — tak spreparowany marksizm nie był oczywiście zbyt groźny dla burżuazji. Ale nawet w takiej postaci rozszerzał znacznie horyzonty ówczesnego pisarza polskiego. Zresztą ideologia Żeromskiego kształtowała się nie tylko pod wpływem „Głosu". Silnie oddziałały nań również kontakty z polską kolonią socjalistyczną w Zurichu i rozczytywanie się w radykalnej publicystyce wielkiej emigracji (Worcell, artykuły Mickiewicza z „Trybuny Ludu") oraz Kamieńskiego.

Pierwsze utwory Żeromskiego („Opowiadania" 1895, „Promień" 1897, „Utwory powieściowe" 1898, „Ludzie bezdomni" 1900) samym zestawieniem typowych, dobitnych faktów ujawniały sprzeczności ustroju kapitalistycznego, maskowane najczęściej przez powieść pozytywistyczną i rozwijały w ten sposób dalej polski realizm krytyczny, jakkolwiek posiadały już pewne obciążenia naturalistyczne. W szeregu fragmentarycznych ujęć przedstawił tu Żeromski ciężką pracę i bezlitosny wyzysk robotnika fabrycznego, beznadziejne położenie spauperyzowanego drobnomieszczaństwa, a przede wszystkim — temat, do którego ciągle będzie powracał — nędzę i poniżenie wiejskiego proletariatu. W tym obrazie Żeromskiego wysuwa się na plan pierwszy nie konflikt burżuazja — proletariat, lecz konflikt między biedotą chłopską a obszarnictwem. Wobec niezrealizowania zadań rewolucji burżuazyjno - demokratycznej w Polsce, ujęcie takie, choć tylko fragmentarycznie ukazujące rzeczywistość społeczną, posiadało głębokie wartości poznawcze i ideowe.

Z gwałtowną pasją i gryzącą ironią satyryka napiętnował Żeromski egoizm i chciwość klas posiadających, nie szczędząc przy tym apoteozowanej przez pozytywistów inteligencji burżuazyjnej (dr Obarecki z „Siłaczki", inż. Bijakowski z „Doktora Piotra").

To też utwory pierwszego okresu twórczości Żeromskiego, zwłaszcza opowiadania, stanowią nowy krok w rozwoju literatury polskiej — nie tylko dzięki rozszerzeniu tematyki, ale i takiej wnikliwości krytycznego spojrzenia na stosunki kapitalistyczne, jaka niedostępna była Prusowi czy Orzeszkowej. Tak trafnego i wyrażonego w pełni realistycznymi środkami artystycznymi „krajobrazu społecznego", tak jednoznacznej krytyki moralności burżuazyjnej, jaką znajdujemy w „Doktorze Piotrze", nie było we wcześniejszej polskiej prozie literackiej. Jednakże krytyki tej nie umiał rozwinąć w dalszej twórczości sam Żeromski. W późniejszym okresie stawała się ona raczej namiętnym protestem przeciw krzywdzie i uciemiężeniu człowieka, głosem żarliwego współczucia dla wszelkiego cierpienia. Żeromski był niewątpliwie wielkim oskarżycielem, niestrudzonym budzicielem sumień. Co więcej, na niektórych kartach jego utworów protest mieszczańskiego pisarza stawał się pośrednim odzwierciedleniem protestu wyzyskiwanych i uciemiężonych mas ludowych, zwłaszcza biedoty chłopskiej („Słowo o bandosie"). Taką zasługą społeczną żaden pisarz polski okresu modernizmu z Żeromskim mierzyć się nie może; na tym też polegało rewolucjonizujące znaczenie jego twórczości. Rzecz jasna, rewolucjonistami mogli się stawać ci jedynie spośród czytelników Żeromskiego, którzy nie tylko nie poprzestali na jego „czującym wiedzeniu", ale — umieli wyjść poza nie.

Stawiając przed oczy czytelnika najbardziej jaskrawe przykłady krzywdy i cierpienia, utwory Żeromskiego nie wyjaśniały na ogół mechanizmu zła społecznego, nie ukazywały świadomie prawdziwych — rewolucyjnych — perspektyw usunięcia go, wyolbrzymiały konflikty wtórne (narodowe) i tworzyły konflikty pozorne (np. sprzeczność między pracą społeczną a szczęściem osobistym w „Ludziach bezdomnych").

Człowiek pracy w utworach Żeromskiego to człowiek cierpiący, krzywdzony, wyzyskiwany, nie zaś — człowiek walki. Wobec Żeromskiego powtórzyć by można zarzut poczyniony przez Engelsa powieściom Margaret Harkness: „...klasa robotnicza występuje (tam) jako bierna masa, niezdolna sobie pomóc, masa, która nie czyni żadnych prób ani wysiłków w tym celu. Wszelkie starania, aby wyrwać ją z otępiającej nędzy, wychodzą z zewnątrz, z góry... To niesłuszne. Rewolucyjny opór klasy robotniczej przeciwko uciskającemu ją środowisku, jej rozpaczliwe próby, pół świadome albo świadome, żeby zdobyć swe ludzkie prawa, są zapisane w historii i winny dlatego zająć swe miejsce w dziedzinie realizmu". Tego postulatu twórczość Żeromskiego nie spełnia. Działalność rewolucjonisty - robotnika Wiktora Judyma z „Ludzi bezdomnych" zarysowana jest tylko w ogólnikowych aluzjach.

Albowiem nie klasie robotniczej przyznawał Żeromski misję walki z krzywdą społeczną. Jego apel skierowany był w stronę inteligencji (zwłaszcza szlacheckiego pochodzenia), którą pisarz uważał za ponadklasową przewodniczkę całego narodu. W wielu jego dziełach powtarza się postać pozytywnego bohatera-inteligenta (Raduski — „Promień", dr Judym — „Ludzie bezdomni", Czarowic — „Róża", Rozłucki — „Uroda życia", Nienaski — „Walka z szatanem"), który w poczuciu odpowiedzialności moralnej uzurpuje sobie misję prometejską w walce o wyzwolenie społeczne i narodowe. Jednakże inteligent Żeromskiego występując przeciw niesprawiedliwości społecznej uważa, że dokonuje aktu poświęcenia, nie

rozumie, że działa również w interesie swojej grupy społecznej. Po wtóre zaś, inteligent Żeromskiego nie staje się uczestnikiem walki klasowej proletariatu przeciw burżuazji. Z winy, którą dzieli z klasami posiadającymi, usiłuje się wyzwolić patetycznym a niepotrzebnym gestem ofiary lub indywidualną działalnością filantropijno-utopijną. W ujęciu takim znalazła wyraz obiektywna sprzeczność w pozycji społecznej inteligenta w ustroju burżuazyjnym, sprzeczność, która rozdziera też postawę ideową samego Żeromskiego, jego twórczość.

Przy takim ponadklasowym czy pozaklasowym ujęciu roli i zadań postępowej inteligencji w społeczeństwie klasowym — czystość moralna, altruizm pozytywnych bohaterów Żeromskiego stanowiły jednak całkowite zaprzeczenie typowych cech bohaterów literatury imperialistycznej: aspołecznego hedonisty lub antyspołecznego „nadczłowieka".

W dziełach Żeromskiego stale się powtarza konflikt w duszy bohatera między obowiązkiem wobec idei a pociągiem ku złej, amoralnej a przecież pożądanej „urodzie życia". Konflikt ten Żeromski absolutyzuje jako ponadczasowy; w istocie jest on tylko odzwierciedleniem w świadomości jednostki — chwiejnej pozycji ideologicznej inteligencji w społeczeństwie klasowym. Sytuacja ekonomiczna „proletariatu pracy umysłowej" zbliża inteligencję do klasy robotniczej, funkcja ideologiczna dyktowana przez burżuazję, liczne powiązania kultury, stylu życia itp. — do klas posiadających.

Rozpowszechniony jest np. pogląd, jakoby kobiety Żeromskiego uosabiały biologiczną „urodę i pełnię życia". Tymczasem sam pisarz stale kojarzy te postaci z możliwościami, jakie przed inteligentem otwiera kapitulacja ideowa, wrośnięcie w klasy posiadające. Natalia czy księżniczka, Ksenia czy Tatiana — w kobietach tych zawsze płynie „dobra krew", zawsze otacza je aura wykwintności i zbytku, zawsze stają w poprzek społecznej aktywności bohaterów. Ale to „wspólne zło" literatury imperialistycznej — elementy amoralnego biologizmu w duchu nietzscheańskim czy też rysy wybujałego erotyzmu, który łamie społeczną hierarchię praw i obowiązków człowieka — Żeromski usiłował właśnie odrzucić i przezwyciężyć. Używając jego przenośni: Aryman u Żeromskiego mści się i łamie jednostkę, ale nie triumfuje w sumieniu bohatera, nie zdobywa aprobaty autora. Drapieżny demon Śnica z „Charitas" nigdy nie traci cech „drobnego biesa", a jego ostatnie oblicze — to oblicze sadystycznego oprawcy w austriackich obozach jeńców wojennych. Ostatnie konsekwencje ideologiczne nietzscheanizmu odsłonił tu Żeromski z wyjątkową przenikliwością.

* * *

Wobec pokus ideowej kapitulacji tym bardziej patetyczny musiał być uczuciowy protest przeciw krzywdzie społecznej, tym silniejszy musiał być apel o przezwyciężenie egoizmu w sumieniu inteligenta. Z czasem liryczne wzruszenie, tłumione jeszcze w pierwszych utworach, staje się naczelnym elementem twórczości Żeromskiego (częste krajobrazy również spełniają funkcje komentarza lirycznego). Brak jasnych i konsekwentnych założeń ideologicznych, brak zrozumienia praw rozwoju społecznego nie pozwalał mu na spoistą konstrukcję utworów. Autor nie panuje poznawczo nad opisywaną rzeczywistością, ani nie widzi jej perspektyw rozwojowych; dlatego powieści jego stają się cyklami luźno powiązanych fragmentów i epizodów i urywają się często bez rozwiązania wątku fabularnego.

Chwilowej sile oddziaływania uczuciowego, które ma przysłonić intelektualną wątłość ogólnej koncepcji powieściowej, poświęca Żeromski konsekwencję rozwoju psychologicznego swych postaci: ileż razy — jak Judym czy Rozłucki — zaskakują one czytelnika nieoczekiwanymi, nieprzygotowanymi wewnętrznie decyzjami i przełomami duchowymi. Z tych samych względów wyposaża Żeromski swych bohaterów w nieustannie maksymalną intensywność przeżyć psychicznych. Co więcej: każe im nieraz myśleć i odczuwać ponad ich możliwości intelektualne i emocjonalne (Rafał Olbromski, Ewa Pobratyńska).

Wszystko to ukształtowało jego styl literacki. Znika umiar i oszczędna celność słowa, panująca we wczesnych opowiadaniach. Styl dojrzałego Żeromskiego imponuje bogactwem leksycznym, ale natłoczony jest superlatywami i w ogóle wyrazami o najintensywniejszym zabarwieniu uczuciowym, ekstremistycznie określającymi gatunek przedmiotu czy też sposób wykonywania czynności. Ton „fortissimo" bardzo często nadużywany jest przez Żeromskiego tam, gdzie pisarz chce zasugerować czytelnikowi wyjątkowe nasilenie przeżyć duchowych bohaterów. („Ten widok cisnął w nią jakby oszczepem diabła i utkwił w piersiach jak grot o trzech węgłach, którego już z piersi nic wydrzeć nie zdoła"... „Ciekła długą strugą męczarnia z żywej rany. Dusza zapadała się w podziemie swoje, w pieczarę szlochów nadaremnych, w których celu ani skutku nie ma, głuchych jęków bez przelania jednej łzy, co się wyrywają ze swej otchłani jak wicher nieustający, a nigdy jej nie opróżnią" itd.).

Kiedy więc mowa o wyborze tradycji literackiej — Żeromski może być wymieniany przede wszystkim jako wzór aktywnego, świadomego współuczestnictwa w kształtowaniu świadomości społecznej, wzór czujności wobec nowych zjawisk, które niesie z sobą życie, wzór pojmowania zawodu pisarza jako odpowiedzialnej służby społecznej i narodowej.

Żeromski buntował się nie raz przeciw tej służbie, m. in. dlatego, że pojmował ją fałszywie: w imię jej nadaremnie i niepotrzebnie, z całą świadomością artystycznej klęski, którą sam sobie gotuje, wtłaczał w swe powieści — surowe materiały publicystyczne. Ale ten sam Żeromski umiał z wyjątkową bystrością zdemaskować klasowy sens schyłkowej sztuki burżuazyjnej, szermującej nasiem estetyzmu:

**„Pisarze i literaci! Sztukmistrze! Uczyniliście z cudownego narzędzia, z boskiej lutni środek utrwalenia niedoli ludzkiej. Wszystko, co jest głosem męczarni świata w dziełach artyzmu, przezywają tendencją, a swoją tendencję, cuchnącą z każdego wiersza, z każdego wyrazu, utożsamiają z najczystszą sztuką. Gdyby mówili wprost, w pospolitej broszurze, byliby zwyczajnymi pochlebcami kapitału i salonu, rozpustnikami i zazdrośnikami, fałszerzami nadętymi od pychy, gorszycielami kobiet i poczciwców. Gdy mówią przez zasłonę sztuki, są oto bezinteresownymi twórcami..."** („Nawracanie Judasza").

Jak walczyć „o człowieka-nędzarza, o zasłonięcie prześladowanego, o podźwignięcie wdeptanych w ziemię przez buty bogaczy" — na to pytanie próbował Żeromski odpowiedzieć swoją twórczością. W „Ludziach bezdomnych" doktór Judym walczy o polepszenie higienicznych warunków mas pracujących, o reformistyczne poprawienie kapitalizmu. Później idee Żeromskiego nabierają znamion utopijnych. Że wyzwolenie klasy robotniczej może być tylko dziełem klasy robotniczej — ten pogląd zawsze był mu obcy. Wielką przemianę społeczną łączył z ofiarnością jednostek spośród klas posiadających, z wynalazczością geniusza. W dziejach myśli Żeromskiego powtórzyły się pomyłki późniejszych utopistów. „Trzymają się oni uparcie dawnych poglądów swych mistrzów na przekór postępującemu rozwojowi historycznemu proletariatu. Usiłują więc konsekwentnie stępić ponownie walkę klasową i pogodzić przeciwieństwa. Wciąż jeszcze marzą o próbach urzeczywistnienia swych utopii społecznych, o zakładaniu poszczególnych falansterów, o zorganizowaniu Home colonies, o urządzeniu małej Ikarii, kieszonkowego wydania nowej Jerozolimy — dla zbudowania wszystkich tych zamków na lodzie muszą odwoływać się do filantropii burżuazyjnych serc i worków pieniężnych". („Manifest komunistyczny").

Utopijny charakter pierwszych teorii socjalistycznych był jednak nieuchronny; wynikał z niedojrzałości stosunków ekonomiczno-społecznych w początkach XIX wieku. Utopizm Żeromskiego z jego nierealnymi rozwiązaniami i koncepcjami społecznymi występował w dobie imperializmu, a więc w okresie zaostrzonej walki politycznej między proletariatem a burżuazją, w okresie, kiedy proletariat posiadał już oręż ideologiczny marksizmu.

Żeromski wprowadzał postaci utopijnych reformatorów i filantropów — jak sam przyznaje — w celach propagandowych. („Rysowałem wielokrotnie fikcyjne postacie takich patriotów i owo zrzeczenie się dóbr na rzecz ludu propagowałem wytrwale przez całe życie — psując do gruntu jaką taką wartość swych pisanin"). A mimo to — i w tym wierność Żeromskiego wobec realizmu — był bezlitosny wobec własnych utopii: bohaterzy jego z reguły przegrywają podjętą przez siebie samotniczą walkę. Żeromski - publicysta propaguje utopię, Żeromski - pisarz nie wierzy w społeczną skuteczność ofiary „ludzi bezdomnych", potępianych przez posiadaczy a oderwanych od mas ludowych. Do pewnego stopnia więc same powieści Żeromskiego neutralizowały dezorientujący utopizm jego koncepcji.

Obok zagadnień społecznych sprawa odzyskania niepodległości stanowiła naczelne zagadnienie utworów Żeromskiego. W „Syzyfowych pracach" (1898) przedstawił pisarz na przykładzie szkoły system ucisku i wynarodowiania stosowany przez carat. Był bystrym obserwatorem i widział służalczość sojuszu obszarniczo-burżuazyjnego wobec zaborców. Stąd m. in. ostre rysy satyryczne w stosunku do klas panujących.

Ale pod naciskiem ideologii burżuazyjnej, nie znajdując oparcia w słusznym programie narodowym partii robotniczej, patriotyzm Żeromskiego już we wczesnych utworach, jak „Mogiła", czy „Syzyfowe prace" wyradza się w nacjonalizm. Żeromski nie rozumie, że „minęły te czasy, kiedy rewolucja burżuazyjna mogła stworzyć wolną Polskę; dziś (tj. w początkach XX w.) odrodzenie Polski możliwe jest jedynie przez rewolucję socjalną, gdy nowoczesny proletariat rozbije swe kajdany" (słowa Mehringa, cytowane przez Lenina). Jednakże pisarska uczciwość korygowała nieraz — zwłaszcza w utworach artystycznych — jego fałszywe założenia polityczne. To przecież Żeromski wprowadził do literatury polskiej „czterech mężów proletariatu, którzy po raz pierwszy w dziejach Wschodu Europy złączyli wolne ręce i spoili święty entuzjazm ludu polskiego ze świętym poświęceniem ludu Rosji, a za najdostojniejszą sprawę złamania miotły i zdeptania psiego łba opryczyny po społu bohaterskie gardła dali" („Nokturn"). W „Dumie o hetmanie" uczynił Żółkiewskiego głosicielem polsko - rosyjskiego pojednania. W powieści „Charitas" wprowadził piękną postać rosyjskiego żołnierza, litościwego opiekuna osieroconej dziewczynki.

Sprawa wyzwolenia narodowego określiła kierunek zainteresowań historycznych Żeromskiego. Obejmowały one głównie czasy porozbiorowe: okres napoleoński („O żołnierzu tułaczu" 1898, „Popioły" 1904, „Sułkowski" 1910) i powstanie styczniowe („Rozdziobią nas kruki, wrony" 1896, „Echa leśne" 1905, „Wierna rzeka" 1912). W „Dumie o hetmanie" (1908) pisanej zresztą z myślą o współczesności dał syntezę artystyczną Polski XVII wieku.

Utwory te nie apoteozowały bezkrytycznie szlacheckiej przeszłości, jak to czyniła trylogia Sienkiewicza. Ukazywały w dziejach Polski nie tylko patriotyzm i odwagę, lecz również magnackie warcholstwo i egoizm klasowy, okrutny ucisk społeczny i narodowościowy. Ileż odwagi było we wspaniałym opowiadaniu „O żołnierzu tułaczu", który przynosi do kraju wolnościowe hasła Rewolucji Francuskiej! W „Popiołach" Żeromski nie przemilczał, że patriotyzm legionów został nadużyty przez Napoleona dla zaborczej polityki. Inaczej niż Sienkiewicz, Żeromski z dużym realizmem odsłonił groźne i odrażające oblicze wojny.

* * *

Rewolucję 1905 roku przyjął Żeromski z entuzjazmem. Ale, pisarz współpracujący wówczas aktywnie z PPS, aprobował podporządkowanie klasowego ruchu proletariackiego — dążeniu do niepodległości, a to znaczyło wówczas przyjęcie platformy burżuazyjnego nacjonalizmu. Nie dostrzegał również, że niezbędnym warunkiem zwycięstwa jest sojusz proletariatu polskiego z proletariatem rosyjskim.

W latach kontrrewolucji i depresji ruchu robotniczego wzmaga się ideologiczny zamęt w twórczości Żeromskiego. W dramacie symbolicznym „Róża" (1909) pisarz napiętnował służalczość i rozkład moralny klas posiadających. Oddał hołd bohaterstwu jednostek ze środowiska proletariackiego, ale do mas ludowych odniósł się z nieufnością. „Wszystko poczniemy dla was, lecz bez was" — mówi do robotników magnat - rewolucjonista Czarowic. Dla pesymizmu Żeromskiego w tym okresie znamienna jest powieść „Dzieje grzechu" (1908). Zanikają w niej wartości realistyczne, naturalizm łączy się z mechanicznymi wkładkami publicystycznymi.

W przededniu wojny światowej pisarz ulega coraz silniej ideologii nacjonalistycznej („Uroda życia" 1912), uwydatnia coraz bardziej znaczenie silnej indywidualności. W masach ludowych widzi czynnik bierności i bezwładu, stawia przed nimi postulat nie walki politycznej, lecz — udoskonalenia moralnego („Nawracanie Judasza" 1913). Pojawiają się sympatie dla syndykalizmu.

W czasie pierwszej wojny światowej Żeromski — przy wyraźnych tendencjach ententofilskich — uważał, że zarówno walka po stronie Rosji carskiej, jak i państw centralnych jest sprzeczna z interesami narodu polskiego. W powieści „Charitas" (1919) włączył satyryczną charakterystykę obozu legionowego. O jego „lewicy", tj. piłsudczykowskiej Frakcji Rewolucyjnej PPS pisał: „Rewolucyjności nie było rozumie się w tych dążeniach ani za szeląg. Przeciwnie, były to dążenia raczej zakazujące wszelkiego rewolucyjnego ducha i czynu, który by śmiał i chciał paraliżować kierunek jedyny, prusko-austriacki..."

Odzyskanie niepodległości w roku 1918 zmienia oblicze ideowe twórczości Żeromskiego. Na pewien czas biorą w niej górę pierwiastki optymistyczne. Dawniej bohaterzy jego ulegali w walce z przeciwnościami. Teraz pisarz sławi zwycięską działalność człowieka opanowującego przyrodę, wprzęgającego ją do pracy dla swych celów. Z radością wita odzyskanie Śląska i Pomorza, powrót Polski nad Bałtyk. Tony antyniemieckie, jakie pojawiają się wtedy u Żeromskiego, posiadają jednak silne obciążenie nacjonalistyczne. W cyklu historycznym „Wiatr od morza" (1922) podjął Żeromski — jeden z pierwszych — tematykę marynistyczną.

Żeromski wierzył, że z chwilą odzyskania niepodległości Polska stanie się niemal automatycznie krajem sprawiedliwości społecznej. Przypominał, że na warstwach posiadających ciąży „niezmazany najcięższy grzech — miliony ludzi polskich bez roli, komorników i chałupników, taniego najemcy szlacheckiego bez możności wyjścia z trudnego bytu" („Snobizm i postęp"). Nawiązując do tradycji polskich socjalistów utopijnych, przypominał swe projekty organizacji wielkich kooperatyw rolnych (rozwijane już w „Dziejach grzechu"), w których znalazłyby pracę rzesze proletariatu rolnego („Początek świata pracy", 1918). Ale niepoprawny utopista spodziewał się najpierw, że takie kooperatywy powstaną z dobrowolnej ofiary, z „aktu pokuty czynnej" dotychczasowych właścicieli. Później apelował już do władzy państwowej, działającej przecież w ich dobrze zrozumianym interesie. Groził rewolucją i ostrzegał, że tylko radykalne reformy ustrojowe mogą jej zapobiec.

Polska odrodzona jako państwo burżuazyjno-obszarnicze nie kwapiła się jednak z przebudową ustrojową. U schyłku życia Żeromski zrozumiał, że złudzeniem była jego wiara w Polskę jako ponadklasowe państwo sprawiedliwości społecznej. W powieści „Przedwiośnie" napisanej pod wpływem wypadków rewolucyjnych lat 1923—24 jeszcze raz wstrząsnął społeczeństwem. Powojenne wrzenie rewolucyjne, spychając znaczną część pisarzy na pozycje zdecydowanie i ofensywnie proletariackie, regenerowało też w pewnym stopniu wielkie tradycje realizmu krytycznego w twórczości najuczciwszych, najodważniejszych autorów mieszczańskich. „Przedwiośnie" (1924) stało się bodaj najsilniejszym w literaturze tych lat oskarżeniem rzuconym „światu starego łotrostwa", pierwszym literackim odsłonięciem prawdy o ówczesnym państwie polskim jako aparacie ucisku klasowego i narodowościowego. „Czemu nie dajecie ziemi ludziom bez ziemi?... — wołał Baryka. — Czemu gnębicie imię Polski nie Polaków? Czemu tu tyle nędzy? Czemu każdy załamek muru utkany jest żebrakami? Czemu tu dzieci zmiatają z ulic mokry pył węglowy, żeby się wśród tej okrutnej zimy troszeczkę ogrzać?... Lud zgłodniały po wsiach, lud spracowany po fabrykach, lud bezdomny po przedmieściach" — tak uogólniał, z bólem i goryczą, Baryka swe polskie doświadczenia. W końcowej scenie powieści Baryka przyłącza się do pochodu komunistycznego, idącego na Belweder.

Oczywiście Żeromski, choć rozstał się z dawnymi utopiami społecznymi (mit „szklanych domów"), do końca nie zrozumiał ruchu komunistycznego. Sympatie dla ustroju socjalistycznego, tej — według słów Baryki — „niewątpliwie wielkiej próby naprawy ludzkości", podziw dla „odwagi Lenina, żeby wszcząć dzieło nieznane, zburzyć stare i wszcząć nowe" — niweczył u Żeromskiego lęk przed rewolucyjną metodą działania, przed czynną akcją mas ludowych. Skłonny był widzieć w rewolucji przede wszystkim siłę niszczycielską, nie widział nowego świata zrodzonego z rewolucji. Ale przy tym trzeba pamiętać, że kiedy Żeromski mówi o własnych ideałach społecznych — zestawia je tylko z komunizmem: w ustach przeciwnika jest to najgłębszy chyba wyraz szacunku. Nacjonalizm nie zamącił również Żeromskiemu spojrzenia na sprawę „Kresów" wschodnich. W rozmowie z wywłaszczoną dziedziczką Baryka mówi niedwuznacznie: „Tam jest ziemia ruska i lud ruski... O tym, żeby się tam z powrotem pchać, nawet nie należy marzyć, nie tylko myśleć"; odpycha od siebie sugestie, żeby „intromitować z powrotem pudla Gagę do pałacu na Ukrainie, gdzie już pewnie jest teraz wiejska szkoła".

Polskie środowisko komunistyczne zostało przedstawione w „Przedwiośniu" w sposób fałszywy (Lulek). Równocześnie jednak Żeromski pierwszy uznał w ruchu komunistycznym jedynego realnego przeciwnika ówczesnej Polski burżuazyjnej, jedynego rzecznika istotnie nowej i w założeniach swych wyższej koncepcji ustrojowej.

* * *

Żeromski był ostatnim chyba z pisarzy burżuazyjnych, którego uważano za wielkiego przywódcę ideologicznego. Oczywiście sam pisarz uświadamiał sobie słabość swych koncepcji polityczno - społecznych, widział, że nie potrafi wskazać narodowi słusznych dróg rozwoju społecznego. U kresu niemal życia wyznawał: „Moje rozumowanie było zawsze pomyłką. Każdy uczynek, każdy akt dokonany przez moje serce chybiał celu. Wszystko zawsze inaczej się stało, niżem wyśnił. Poza moim logicznym wywodem wszystko szło stronami, swoją własną drogą. („Pomyłki").

To prawda, że rozumowanie Żeromskiego było często pomyłką. Ale jego pasja szukania prawdy, gniew i gorycz demaskatora, ból i współczucie dla cierpiącego człowieka — spełniały niewątpliwie funkcję rewolucjonizującą, służyły sprawie postępu i wolności.

Nie bez powodu na Żeromskim skupiała się przez całe dziesięciolecia nienawiść reakcji polskiej. Ohydna kampania klerykalno-endecka przeciw „Przedwiośniu" jest szeroko znana, ale warto przypomnieć, że już w okresie rewolucji 1905 r. fabrykowano o Żeromskim takie wierszyki:

**„Bezdomnych" odmalował, rozdmuchał „Popioły"**
**I społecznych przewrotów gotuje ogromy:**
**„Burżujom" dla bezdomnych ma odebrać domy,**
**A następnie te domy obrócić w popioły.**

Nie bez powodu z Żeromskiego bierze swe początki nurt rewolucyjny literatury dwudziestolecia: Broniewski, Kruczkowski, Wasilewska, choć po to, żeby stać się rewolucyjnymi, musiał przekroczyć granice ideowe i artystyczne Żeromskiego.

Dzisiejsza aktualność Żeromskiego — to zagadnienia odrębne. Nie tylko całej twórczości Żeromskiego nie dałoby się zamknąć w jednej ocenie, ale i poszczególne utwory w takiej ocenie się nie mieszczą. Nie między książkami Żeromskiego, ale w poprzek każdego niemal utworu biegnie granica między tym co żywe i bliskie nam, a tym co już minione i przeżyte.

A żywe i bliskie nam jest dziś dzieło Żeromskiego dzięki ładunkowi protestu i buntu przeciw krzywdzie i uciemiężeniu człowieka. Wciąż jeszcze przecież Smętek ma pełne ręce roboty tam, gdzie „handlują ludami, ziemiami, prawami, cudzymi niepodległościami i prastarą kulturą..., gdzie kłamią w żywe oczy, mając na obliczu bezczelną a wspaniałą maskę nieposzlakowanej prawdy i cnoty..., gdzie na deptaniu wszystkich innych białych i żółtych, czarnych i śniadych, zasadzają i gruntują swoją własną, na wyspie wyrobioną sprawiedliwość".

Oskarżenie rzucone przez Żeromskiego „światu starego łotrostwa" uczy nas nienawidzieć kapitalistycznej przeszłości, umacnia w przeświadczeniu o wielkości zdobyczy socjalizmu, mobilizuje do ich obrony.

Henryk Markiewicz

ZBIGNIEW GAWRAK

# LIST Z MIASTA POKOJU

**Napróżno, błądząc w zaułkach Warszawy,**
**w gruzach spiętrzonych w kształt liry strzaskanej,**
**wśród kolumn barbarzyńską stopą zgruchotanych,**
**piewcy męstwa i piękna i antycznej sławy**
**Homera ślepca szukałbyś uparcie...**
**— w oczach chłopców z Powiśla —**
**znajdziesz Homera bracie!**

**Jeśli Ci kiedyś był do zrozumienia**
**trudny Beethoven, Czajkowski lub Szopen,**
**posłuchaj wiatru w Starówki sklepieniach,**
**w belkach rusztowań zbitych cieśli młotem.**
**Pieśń ich — bijącą, jak w brzeg bije morze —**
**usłyszysz, jeśliś sam z tych, którzy tworzą!**

**Czyś z wsi mazurskiej, czy z Walii zielonej**
**w pielgrzymce przybył do miasta — pielgrzyma**
**przybyłeś w miejsce gdzie różnicy nie ma**
**między murarzem, a twórcą natchnionym.**
**Gdzie sen o wspaniałym jutrze, skrzydlaty i piękny,**
**ujrzysz, dotkniesz i sprawdzisz**
**— i uchwycisz ręką...**

**Sen śmiały — jak myśl rzeźbiarza w kamień wbudowana,**
**młody — jak kwitnąca gałąź w rannej mgle zerwana,**
**lekki — jak biały korowód muz w parku zielonym,**
**które z gruzów na Placu Zwycięstwa wskrzeszone,**
**znów z rokokową gracją podniosły kamienne maski**
**i znów — w gromadzie dzieci**
**— pląsają w Ogrodzie Saskim...**

**gdzie o zmroku robociarz — stary gołąb siwy,**
**jeśli czymkolwiek w spoczynku płoszony,**
**to chyba łabędzim skrzydłem niecierpliwym,**
**w lustrze fontanny twarz swoją strudzoną**
**i grę obłoków ogląda w oddali.**
**(To także, bracie — to też socjalizm!)**

**Spójrz na ten fronton na Krakowskiem Przedmieściu wzniesiony!**
**Wieczny tam bój gigantów widzisz przedstawiony:**
**Z lewej strony Lud roboczy — z prawej kohorta zbrojna!**
**Z jednej POKÓJ — z drugiej WOJNA!**

**Z jednej kłos wznoszą zielony**
**— z drugiej brzeszczot wyostrzony!**
**Tu pierś o lutnię wsparta**
**— tam bok bagnetem rozdarty!**
**Widać, kto walkę tę wygra**
**— kto kogo obali!**
**Ocknij się bracie z zadumy**
**— czas nam już iść dalej!...**

**Czas nam w drogę do walki o nasze najpierwsze**
**marzenia młodzieńcze o świecie, który w kształt piękniejszy**
**od starych gobelinów życie nasze przeleje**
**i nowym się renesansem ku słońcu roześmieje!**
**Spójrz! — gołąb się z ruin zerwał i w błękicie lata**
**— nad szarą armią przechodniów**
**— Warszawy i świata.**

SEWERYN POLLAK

# WARSZAWA W PRZEDDZIEŃ KONGRESU POKOJU



„Kto mówi o interesach jednego narodu, jest nieprzyjacielem wolności" — pisze Adam Mickiewicz. A gdzie indziej dodaje: „Narody nie mają żadnego interesu gubić się nawzajem". Te słowa wielkiego poety polskiego nieodparcie nasuwają się na myśl w chwili obecnej. Pięćset milionów ludzi, połowa dorosłej ludności całego świata podpisała apel sztokholmski, pięćset milionów ludzi bez różnicy rasy, wyznania, poglądów politycznych zjednoczyło się w nieprzepartym pragnieniu pokoju. Narody całego świata nie chcą gubić się nawzajem, ich wspólnym interesem jest zachowanie pokoju, zachowanie wolności, stworzenie jak najlepszych warunków dla swego swobodnego rozwoju. Wyrazem ich woli miał stać się drugi światowy Kongres Obrońców Pokoju w Sheffield, którego głos miał zabrzmieć na cały świat. Ale socjaldemokratyczny rząd Anglii, wierny sprzymierzeniec amerykańskich imperialistów i podżegaczy wojennych, w ostatniej chwili przeląkł się głosu milionów ludzi miłujących wolność, przeląkł się, że głos ten rozlegnie się z Wyspy Brytyjskiej, wyrażając wolę pokoju milionów Anglików i Amerykanów, Francuzów i Niemców, tych wszystkich, którzy gnębieni przez wysługujące się amerykańskiemu kapitałowi rządy, w wołaniu o pokój zechcą przyłączyć głosy swe do wolnego głosu delegatów Związku Radzieckiego i państw demokracji ludowych. Rząd angielski postępowaniem swym uniemożliwił odbycie kongresu w Sheffield. Dziesiątki i setki szykan, odmowa udzielenia wiz wjazdowych najwybitniejszym delegatom, ludziom nauki, pisarzom i poetom, znakomitym artystom, bezprawne aresztowanie wielkiego uczonego Joliot-Curie i wydalenie go z granic Anglii stały się jeszcze jednym dowodem wrogiej pokojowi polityki rządu angielskiego. Bo przecież uświadamiamy sobie jasno — kto nie jest za pokojem, kto usiłuje uniemożliwić walkę o pokój — jest wrogiem pokoju i sam stawia się na jednej płaszczyźnie z podżegaczami wojennymi.

Ale głosu wolności nie można zagłuszyć. Zdławiony w jednym miejscu, rozlegnie się tym szerzej, tym potężniej gdzie indziej. Walki o pokój nie powstrzyma odmowa wiz, nie powstrzymają bezsilne kordony i granice. Próżne wysiłki imperialistów, którzy uniemożliwiając odbycie Kongresu Pokoju w Sheffield, sądzili, że w ten sposób zakneblują usta wyrazicielom woli ludów całego świata, przypominają usiłowania Blefuskianów ze słynnej powieści angielskiego pisarza Swifta, którzy na próżno wypuszczali chmury drobnych szpileczek, pragnąc wyrwać swe okręty prowadzącemu je jedną ręką Guliwerowi. Okręt historii również nie popłynie wstecz, a jedyną jej drogą, drogą słuszną i sprawiedliwą jest ta, którą wskazuje Związek Radziecki: droga wolności narodów, droga twórczej pracy w imię pokoju i dla pokoju.

Już w 1924 roku Stalin powiedział: „Obecnie wszyscy przyznają, i wrogowie i przyjaciele, że kraj nasz jest jedynym krajem, który ma prawo być nazwany ostoją i chorążym polityki pokojowej na całym świecie... Władza radziecka stała się rzeczywiście popularną w szerokich masach państw kapitalistycznych. Niczemu jednak władza radziecka nie zawdzięcza tak popularności, jak polityce pokojowej, uczciwie i odważnie przeprowadzanej w trudnych warunkach otoczenia przez kapitalizm".

Od tego czasu zmieniło się tylko jedno: nie może już być mowy o otoczeniu; Związek Radziecki, idee przez niego reprezentowane znajdują szeroki oddźwięk i zrozumienie we wszystkich częściach świata, we wszystkich krajach. Na całym świecie szerzy się i krzepnie zorganizowany ruch w obronie pokoju, jednocząc w swych szeregach robotników i chłopów, uczonych i artystów, inteligencję, kobiety i młodzież, ludzi najrozmaitszych przekonań politycznych i religijnych. Dla nich wszystkich Związek Radziecki, kraj, który wyzwolił ludzkość przed zagładą hitleryzmu, kraj, który potrafił rozgromić największych wrogów pokoju, stał się wzorem i przewodnikiem walki o ograniczenie zbrojeń, o zakaz broni atomowej, o potępienie zbrojnej agresji w każdej postaci.

Prezydent Bolesław Bierut w artykule „ZSRR — ostoją pokoju" mówi: „Przedstawiona przez delegację radziecką w Organizacji Narodów Zjednoczonych „Deklaracja o usunięciu groźby nowej wojny i o utrwaleniu pokoju i bezpieczeństwa narodów", wytyczne dla delegatów radzieckich na II Światowy Kongres Obrońców Pokoju i zwołana z inicjatywy rządu ZSRR narada ministrów spraw zagranicznych ośmiu państw w Pradze wskazują ludzkości drogę ocalenia i utrwalenia pokoju. Majestatycznej wymowy tej polityki pokoju nie zagłuszą żadne goebbelsowskie pogróżki amerykańskich agresorów i podżegaczy wojennych. Siły pokoju rosną i wzrostu ich nic nie potrafi wstrzymać."

Głos Parlamentu świata, jakim stanie się bezsprzecznie Drugi Światowy Kongres Obrońców Pokoju, jeśli nie mógł się rozlec z Anglii z winy brytyjskich imperialistów, i tak dobiegnie Anglii i Ameryki i znajdzie głęboki oddźwięk i zrozumienie w szerokich rzeszach, które nie chcą być prowadzone na rzeź przez rządzących nimi wrogów ludzkości, kapitalistów i imperialistów.

Ten głos, jeśli nie mógł rozlec się z Sheffield, rozlegnie się z Warszawy. Głęboką wymowę ma fakt, że właśnie Warszawa, stolica kraju, który obok Związku Radzieckiego poniósł największe ofiary w ostatniej wojnie, właśnie Warszawa, miasto, które hitlerowcy chcieli zmieść z powierzchni ziemi, a które odrodziła z popiołów wola budującego socjalizm narodu — że to właśnie miasto zostało po Sheffield obrane na miejsce obrad II-go Światowego Kongresu Pokoju.

Naród polski jest głęboko zainteresowany w zachowaniu pokoju światowego. Polityka pokoju jest polską polityką narodową, gdyż jedynie pokój zagwarantować nam może zagojenie ran, jakie ponieśliśmy w ostatniej wojnie i budowę wolnego socjalistycznego państwa, w którym nareszcie po tylu klęskach osiągną wolność i dobrobyt najszersze rzesze ludności. Entuzjazm budowy, entuzjazm tworzenia, jakim żyje dzisiaj cały kraj, jest jednocześnie entuzjazmem pokoju. Osiemnaście milionów Polaków podpisało apel sztokholmski nie po to, aby został zaprzepaszczony twórczy wysiłek całego pokolenia, ale po to, aby budując i budując iść dalej drogą do socjalizmu. Zaniedbania w dziedzinie kultury, zaniedbania i straty, jakie ponieśliśmy w dziedzinie życia materialnego, mogą być odrobione jedynie przy zachowaniu pokoju. By murarz mógł wznosić domy w odradzającej się Warszawie, by pisarz mógł pisać książki, by uczony, wynalazca i racjonalizator mógł spokojnie oddać się swej pracy, musimy mieć pokój i mieć go będziemy.

W walce o pokój nie przeceniamy siły wroga, ale go również nie niedoceniamy. Remilitaryzacja Niemiec Zachodnich, akcja zbrojeniowa, podjęta tam przez amerykańskich okupantów i niedobitków hitleryzmu, demagogiczne hasła rewizjonistyczne w stosunku do naszej granicy zachodniej głoszone przez rozmaitego autoramentu Adenauerów, mogą stanowić dla Polski bezpośrednią groźbę. „Byłoby lekkomyślnością — mówił Prezydent Bierut na IV Plenum KC PZPR w maju br. — nie widzieć płynącej stąd groźby dla pokoju światowego, byłoby przestępstwem nie widzieć płynących stąd dla nas niebezpieczeństw. Toteż nie może być Polaka, który by nie był żywotnie zainteresowany we wzroście potęgi obozu pokoju. Każdy sukces Związku Radzieckiego jest naszym sukcesem, każde umocnienie się solidarności obozu pokoju jest naszą wygraną".

Kongres warszawski będzie niewątpliwie dalszym krokiem do umocnienia się solidarności obozu pokoju, do zapobieżenia groźbom wojny, niewątpliwie jeszcze raz wobec całego świata ujawni i wskaże wyraźnie szantażystów i podżegaczy wojennych.

Głos polskich mas pracujących łączy się z głosem wszystkich miłujących wolność i pokój narodów. Masy pracujące całego kraju zwracają oczy ku swej stolicy, która na czas kongresu staje się niejako stolicą świata, stolicą, w której ma obradować najwyższy parlament — Parlament Pokoju.

Toteż nic dziwnego, że lud Warszawy na długo przed kongresem, a szczególnie teraz, gdy doszły go wiadomości o uniemożliwieniu przez rząd Attlee kongresu w Sheffield i o przeniesieniu jego obrad do Warszawy, protestuje przeciw represjom angielskim wobec delegatów i zaciąga Warty Pokoju na cześć kongresu. W licznych warszawskich zakładach pracy odbywają się wiece i masówki załóg, na których klasa robotnicza daje wyraz swemu oburzeniu i dobitnie protestuje przeciw polityce rządu Wielkiej Brytanii, który odmową udzielenia wiz większości delegatów, a w szczególności członkom Komitetu Organizacyjnego Kongresu, szykanami wobec pozostałych delegatów, jeszcze raz dowiódł istoty swych imperialistycznych, antypokojowych zamierzeń.

Polska klasa robotnicza zdaje sobie w pełni sprawę z wymowy moralnej i faktycznej Kongresu jako głosu ludzkości, głosu kultury przeciw groźbie barbarzyństwa i z dumą składa meldunki o wykonaniu zobowiązań produkcyjnych, podjętych dla uczczenia Kongresu. Oto sprawozdanie z kilku zaledwie zebrań fabrycznych, podane przez „Trybunę Ludu" z dnia 12 listopada br.: „Załoga zakładów mechanicznych „Ursus" na masówkach, które odbyły się w dniu 11 bm. we wszystkich działach fabryki, wyraziła swe oburzenie i protest z powodu odmowy władz angielskich udzielenia wiz wjazdowych do Anglii dla większości delegatów na II Światowy Kongres Pokoju.

Wśród entuzjazmu zebranych załóg poszczególnych działów, liczni robotnicy zgłaszają zobowiązania produkcyjne i deklarują zaciąganie „Wart Pokoju", które — jak stwierdzają — są odpowiedzią załogi „Ursus" na szykany władz angielskich w stosunku do delegatów na Kongres.

Robotnicy i pracownicy Zakładów L-13 po referacie przedstawiającym doniosłe znaczenie Kongresu Pokoju postanowili w dniach 13, 14, 15 i 16 bm. zaciągnąć „Warty Pokoju".

Pracownicy Zakładów Przetworów Chemicznych „Dobrolin" zaciągną „Warty Pokoju" w dniach 11 — 15 bm."

Nie zabrakło w przygotowaniach do Kongresu głosów pisarzy polskich. Nie mówiąc już o licznych na temat pokoju wypowiedziach w prasie, nie mówiąc o tematyce pokojowej, która już od dłuższego czasu stała się jednym z głównych motywów całej polskiej poezji, w ostatnich tygodniach ukazał się w Warszawie szereg publikacji poetyckich w oddzielnych zbiorach. Do najciekawszych i najobszerniejszych należy antologia wierszy polskich, zredagowana przez Lesława Bartelskiego i Stanisława Wygodzkiego pt. „Słowo o wielkim braterstwie". Zostały tu zebrane utwory poetów polskich poświęcone Związkowi Radzieckiemu, a tak już z natury rzeczy, z logiki praw rządzących historią wypływa, że każdy utwór związany tematycznie ze Związkiem Radzieckim siłą rzeczy jest jednocześnie utworem o tematyce pokojowej. Dlatego też tę interesującą antologię, która ukazała się na miesiąc przyjaźni polsko - radzieckiej, możemy uznać w pełni za jedną z publikacji pokojowych, za głos poetów polskich w obronie pokoju. Prócz tego ukazała się drukiem seria poetycka pod ogólną nazwą „Poeci w walce o pokój i wolność" pod redakcją Mariana Bielickiego i Jerzego Lau. Seria ta obejmuje pięć zbiorków poezji, z których najważniejsze to: „Gwiazda pokoju" — wiersze poetów radzieckich, oraz „O pokój" — wiersze poetów polskich poświęcone sprawie pokoju.

Nie zdążyła jeszcze Warszawa zdjąć odświętnej szaty, jaką przybrała z okazji rocznicy Rewolucji Październikowej i inauguracji miesiąca przyjaźni polsko-radzieckiej, gdy przywdziewa ją znowu na Kongres Pokoju. Już od niedzieli, gdy stała się powszechnie wiadoma decyzja o zorganizowaniu Kongresu w Warszawie, na wszystkich ważniejszych ulicach stolicy wkopywane są wielkie słupy masztowe dla flag i dekoracji. Wszystkie gmachy publiczne, wszystkie urzędy, fabryki, wystawy sklepowe przyozdobiły się w czerwień i w portrety wodzów Rewolucji — wielkich bojowników o sprawę pokoju. W wielu punktach miasta umieszczono gabloty z fotografiami czołowych działaczy ruchu pokoju oraz ze zdjęciami, przedstawiającymi walkę ludów o wolność i trwały pokój. Na ulicach Warszawy daje się zauważyć wyraźne ożywienie. Kongres i przygotowania do Kongresu są tematem rozmów — lud Warszawy, miasta które w herbie swym śmiało mogłoby umieścić młot i kielnię murarską, miasta, które rośnie nie z miesiąca na miesiąc, ale dosłownie z tygodnia na tydzień i z dnia na dzień, — głośno wyraża swoją radość z powodu Kongresu i głęboką wiarę, że obrady Kongresu będą jeszcze jednym krokiem do utrwalenia pokoju.

Warszawski Kongres w Obronie Pokoju będzie się odbywał w olbrzymiej hali Domu Słowa Polskiego. Ten fakt ma również swoją wymowę, swoje symboliczne znaczenie. Dom Słowa Polskiego, fabryka polskiej książki, polskiej prasy, miejsce, skąd rozchodzi się polskie słowo drukowane na cały kraj i na cały kraj promieniuje kultura, — ma stać się miejscem, skąd na cały świat rozlegnie się stanowcze, pełne poczucia siły wołanie o pokój. Dom Słowa Polskiego, dom kultury polskiej zbudowany rękami polskiego robotnika na gruzach, które pozostawił hitlerowski barbarzyńca, stanie się na te dni Domem Słowa Pokoju, Domem Kultury Światowej. Bo przecież pokój a kultura — to jedno. Bez pokoju nie może być kultury.

„Coraz to nowe miliony skupiają się w szeregach obozu, którego podstawową siłą jest Związek Radziecki, a kierownikiem i chorążym Wielki Stalin. Polska traktuje jako sprawę swojego honoru wniesienie jak największego wkładu w tę wspólną walkę. Z niesłabnącą energią i czujnością będziemy zwalczali bezlitośnie wszystkich wrogów pokoju, wszystkich jawnych i ukrytych agentów zwierzęcego imperializmu.

Bojowy, mobilizujący masy do zdecydowanego oporu przeciwko podżegaczom wojennym, ruch w obronie pokoju reprezentuje ogromną siłę mogącą narzucić swoją wolę" — mówi Bolesław Bierut.

Warszawski Kongres Pokoju — wyraziciel woli wielu milionów ludzi na całym świecie z pełną siłą i stanowczością, za którą kryje się siła i stanowczość całej postępowej, budującej lepsze jutro ludzkości — w najbliższych dniach wszystkim imperialistom i podżegaczom wojennym powie swoje Słowo o Pokoju.

Seweryn Pollak

WŁODZIMIERZ JERMIŁOW

# Pisarze radzieccy — bojownicy o pokój

Utrwalenie piękna życia, światła, szczęścia na przekór ciemnym siłom wojny, zniszczenia — to znaczy faszyzmowi — umiejętność wyniesienia poetyckiej wizji pokoju ponad obraz wojny były najważniejszymi ideowymi i estetycznymi zasadami literatury radzieckiej w okresie wojny ojczyźnianej.

Oddany bojownik pokoju — takim jest pisarz niezwyciężonego, miłującego pokój państwa radzieckiego, pisarz walczący w każdym swoim wierszu o to, żeby nigdy ludzie nie zabijali jeden drugiego w imię ściśle egoistycznych celów międzynarodowych imperialistów.

Żarliwe, niepokonane dążenie radzieckiego człowieka do pokojowej pracy, nienawiść ku tym, którzy narzucają wojny, gniew i rozgoryczenie, że ludzie naszych czasów muszą tyle wysiłku i ofiar oddawać wojnie, broniąc się przed wrogami pokoju — te właśnie motywy odgrywają wielką rolę w liryce znanego radzieckiego poety, Aleksego Surkowa.

Radziecka, żołnierska dusza, cała potworność wojny i stanowcze, potężne pragnienie pokoju — wszystko to znalazło wyraz w jednym z najmocniejszych wierszy A. Surkowa „Na miedzy". Wśród spalonego żyta leży trup wieśniaka zastrzelonego przez faszystów. Zabili go dlatego, że podpalił zboże, ponieważ **nie mógł** go oddać wrogowi. I oto leży —

**„Śpi zabity oracz.**
**Był to**
**Pracowity człowiek rosyjski".**

Czytając dzisiaj te wiersze, czujemy jak zapalczywie walczyły one o pokój, sięgały aż po samo dno żołnierskiej duszy, uświęcały i dziesięciokrotnie wzmagały gniew na wroga. Sprawiały to takie właśnie proste, można rzec łagodne słowa, jakimi kończy się wiersz: „Był to pracowity człowiek rosyjski". Jest w tych słowach spokój bardziej zawzięty niż słowa gniewu.

Partia Lenina — Stalina nieustannie tworzyła, kształtowała **nowy typ pisarza — bojownika pokoju.** Jest on niezawodny. Potrafi walczyć przeciwko wojnie.

Takim właśnie pisarzem jest Konstanty Simonow, niestrudzony pracownik pokoju. W dniach wojny jego wiersze umacniały męstwo i miłość i pobudzały nienawiść do wroga — nienawiść w imię miłości do ludzi. Odtwarzając w swej powieści „Dni i noce" atmosferę i szczegóły niezapomnianych dni Stalingradu, K. Simonow wprowadza nas w dni powszednie walki, gdzie bohaterstwo było rzeczą zwykłą, gdzie wszyscy bez reszty pogrążyli się w wojnie i zdawałoby się, że nic w nich nie pozostało dla pokoju — a mimo to, a jednak nawet w tym piekle wojny ludzie radzieccy pozostali wiernymi sobie. Simonow pokazał, że w lecie 1942 r. w Stalingradzie, w najgroźniejszym okresie życia narodu radzieckiego, w największym nasileniu wojny, oficerowie i żołnierze radzieccy rozmawiali ze sobą w chwilach wytchnienia — dosłownie w chwilach! — o zieleńcach, które znowu powstaną tu, w Stalingradzie, o nauczaniu historii, o tym, że oni walczą i znoszą niesłychane męki i wielu ginie tutaj dlatego, ażeby więcej nie było wojen.

— Myśleć się nie chce — mówi bohater powieści, kapitan Saburow — że kiedykolwiek jeszcze może być wojna.

— To prawda, że się nie chce — odpowiada mu generał Procenko. — I mnie też się nie chce. Nie chce się myśleć, ale trzeba, należy myśleć, to wtedy możliwe, że jej nie będzie.

W sztuce „Zagadnienie rosyjskie" K. Simonow chłoszcze tych, którzy próbowali kłamliwie przedstawiać, oczerniać, wykreślać z pamięci ludzkości Stalingrad, ludzi Stalingradu. Utwór ten walczył i walczy o pokój. Pokazuje, że „Zagadnienie rosyjskie" jest zagadnieniem pokoju, jest obroną pokoju całego świata!

**Dążenie do pokoju** jest bodźcem dla twórczości pisarzy radzieckich nie tylko pod względem **ideowym,** ale stanowi istotę **poetyki** literatury radzieckiej; dążenie do pokoju przenika najdrobniejsze cząstki artystycznej tkaniny wszystkich najlepszych utworów pisarzy radzieckich. Z całą wyrazistością ukazuje to powieść Aleksandra Fadiejewa „Młoda gwardia".

Powieść „Młoda gwardia" stanowi jedno z najbardziej znamiennych świadectw świeżości i niezwykłej swoistości literatury radzieckiej.

Czy nie jest rzeczywiście zdumiewające, że opowieść obrazująca cały mrok okupacji faszystowskiej, opowieść o zagładzie drogich, bliskich nam ludzi, z którymi razem cierpimy w katowniach, razem idziemy na śmierć — czy nie jest zdumiewające, że właśnie ta powieść-tragedia z wyjątkową głębią i siłą podkreśla radość młodości i miłości! Cała powieść owiana jest niezwykłą atmosferą młodzieńczej pogody i czystości, wprowadza nas w jej gorący, dźwięczny, niezmierzony świat.

„Młoda gwardia" rozpoczyna się obrazem, w którym ołowiane, złowrogie barwy wojny przeplatają się z łagodnymi barwami kwitnącego życia. Step doniecki, grupa dziewcząt nad brzegiem rzeki i jak pomruk dalekiego grzmotu odgłosy artyleryjskich wystrzałów nacierającego wroga, który bezpośrednio zagraża Krasnodonowi. Wszystko jest pełne trwogi. Śmierć zawisła nad wszystkim. Jakimiż to słowami zaczyna się, czym się otwiera utwór opowiadający o wojnie, o śmierci, o bezlitosnej walce?

Pierwsze słowa tej powieści poświęcone są lilii.

„— Spójrz tylko, Walu, cóż to za cud! Jakie to piękne. Zupełnie jak wyrzeźbione — ale z jakiego cudownego materiału! Przecież nie z alabastru ani z marmuru, żywa, a taka niedostępna! Cóż to za misterna, delikatna robota — ręce ludzkie nigdy by tego nie potrafiły wykonać. Zobacz, jak spoczywa na wodzie czysta, chłodna, obojętna... A to jej odbicie w wodzie — trudno nawet powiedzieć, która z nich piękniejsza — a barwy?...

Tak mówiła, wychylając się z krzaku wierzby nad rzeczką, dziewczyna z czarnymi wijącymi się warkoczami, w olśniewająco białej bluzeczce i o tak pięknych, jakby rozszerzonych od nadmiaru bijącego z nich światła, zwilgotniałych czarnych oczach, że sama była podobna do owej lilii, której odbicie widziała w ciemnej wodzie.

— Wybrałaś sobie czas do zachwytów! Ależ z ciebie doprawdy dziwaczka, Ulo! — Odpowiada jej druga dziewczyna...

... Słyszysz jak walą?

Milczały chwilę, nadsłuchując.

— Gdy to słyszę i gdy widzę niebo, takie przejrzyste, widzę gałęzie drzew, trawę pod nogami, czuję jak ją nagrzało słonko, jak odurzająco pachnie — robi mi się tak smutno, jak gdyby to wszystko już odeszło ode mnie na zawsze, na zawsze — głębokim, wzruszonym głosem zaczęła mówić Ula. — Serce już tak zobojętniało od tej wojny, już się nauczyło nie dopuszczać do siebie niczego, co mogłoby je poruszyć — i nagle wyrywa się taka miłość, taki żal za wszystkim!..."

Głęboką treścią przepełniony jest początek powieści. Dźwięczy już tutaj główny motyw całego utworu, w którym to, co tragiczne i złowrogie znajduje się w bliskim sąsiedztwie z tym, co tkliwe i liryczne.

Jakże sprzeczne z ową żywą, pełną spokojnego piękna lilią, z ową dziewczyną podobną do lilii, z owym pięknem i rozkwitem życia, młodości — są zbliżające się grzmoty artyleryjskie, wybuch kopalni, całe nagle spadłe nieszczęście wojny! Ta sprzeczność podkreślona jest i tym, że kiedy rozległ się wybuch i dziewczęta pobiegły w tę stronę, Wala wyjęła lilię z włosów Uli i rzuciła ją na ziemię.

„Ula zrozumiała teraz dlaczego Wala to zrobiła. W chwili wstrząsu Wala poczuła jak dziwnie wyglądałaby jej przyjaciółka z tą lilią we włosach"...

Niewspółmierność między wojną i wszystkim co jest z nią związane a rozkwitem życia i jego radością jest głównym motywem powieści.

Górnicy, którzy wysadzili kopalnię „podeszli do furtki i z widoczną ulgą zrzucili przez płotek do ogródka, prosto na kwiaty, przedmioty, które nieśli — zwój kabla, skrzynię z narzędziami i jakiś dziwny, metalowy przyrząd.

I stało się widoczne, że wszystkie te kwiaty wyhodowane z taką miłością jak i całe to życie, w którym możliwe były kwiaty i wiele innych rzeczy — wszystko to już się skończyło".

Wrogość wojny do piękna życia i do wszystkiego, co jest w nim najlepsze — do młodości — jest w „Młodej gwardii" wyrażona z wielką siłą. Cóż więc nadaje temu motywowi powieści tak potężną siłę poetycką?

Motyw ten nie miałby takiej mocy wyrazu, gdyby się ograniczył **tylko** do „miłości i żalu" za wszystkim, co żywe i piękne.

Szczególną siłę nadaje powieści Fadiejewa nierozerwalny związek „miłości i żalu" z pragnieniem i gotowością walki o piękno i czar życia.

**Życie to działanie!** — uczył Gorki. Wiedzieć jak należy **właściwie** postępować, **jak działać** — za wszelką cenę działać! — oznacza dla Uli to samo, co **uchronić duszę** przed zbliżającą się groźbą...

I my wiemy, że Ula jak i inni z „Młodej gwardii" prędko dowiedziała się, jak należy **działać.** Dlatego też nie umrze w naszej pamięci Uliana Gromowa z ciemnobrązowymi oczami, które jak żywe będą zawsze patrzyły w nasze oczy!

Jednym z podstawowych założeń estetyki realizmu socjalistycznego jest **jedność człowieka z przyrodą.** Przyroda jest polem działania człowieka. Człowiek radzieckiego społeczeństwa socjalistycznego **zmienia** przyrodę i **panuje** nad nią — nie jest ona dla niego obca, niedostępna, majestatycznie oporna — nie, jest **swoja, opanowana,** wypracowana ludzkimi rękami, stworzona ludzkim rozumem i wolą.

Dlatego też obrazy piękna przyrody, które artyści radzieccy przeciwstawiają jako **obrazy pokoju — obrazom wojny,**

(Dokończenie na str. 11)

LUDWIK B. GRZENIEWSKI

# Poezja, która rozrywa kraty więzień



Nazim Hikmet

I

Są książki wobec których krytyk staje początkowo zakłopotany: jego zwykłe narzędzia zawodzą, zaczyna pojmować, iż w tym wypadku musi pisać inaczej niż dotychczas, sięgnąć po inne narzędzia, by dać czytelnikowi rzetelną prawdę o książce, z której podjął się recenzji. Tak właśnie jest z tomikiem „Wierszy“ Nazima Hikmeta *), które w przekładzie Ewy Fiszer ukazały się w ostatnich dniach na półkach księgarskich. Wydaje mi się, że nie potrzebuję informować szczegółowo czytelnika polskiego o losach Hikmeta, którego osobą szeroko zajmowała się nasza prasa literacka i codzienna w roku bieżącym, zresztą obszerną informację o życiu i twórczości tego pisarza znajdzie każdy zainteresowany w przedmowie tłumaczki do wydanego tomu.

Na wstępie chciałbym zwrócić uwagę na pewien wielce charakterystyczny aspekt twórczości ujawniający się z przeraźliwą jaskrawością przy czytaniu wierszy Hikmeta. To prawda, że Nazim Hikmet był poetą dużej miary przed momentem uwięzienia; to prawda, że działalność jego zrewolucjonizowała turecką poezję, że miał on na swym dorobku — prócz poezji — jedną powieść, kilka sztuk scenicznych i dwa zbiory studiów politycznych: „Demokracja radziecka“ i „Faszyzm i rasizm niemiecki“. To prawda! Ale swoją pozycję jednego z największych poetów naszej epoki zawdzięcza Nazim Hikmet garści wierszy, których powstanie okupił trzynastoma latami pobytu w ciężkim więzieniu. To nie jest paradoks, ale wielka prawda, nad którą warto się zastanowić... Z najcięższych osobistych doświadczeń, z najboleśniejszych przeżyć i latami trwającej męki — powstała ta — skromna ilościowo przecież — poezja. Z każdego wiersza widać jaki ogrom samego siebie włożył weń poeta. Tyle uwag wstępnych.

Dwie cechy przepajają szczególnie głęboko twórczość Hikmeta: *internacjonalizm*, oraz płomienny *patriotyzm*, mający swe źródło w wielkiej miłości poety do ziemi ojczystej, którą porównuje do „głowy wielbłąda przybyłego galopem z Azji, aby w Morzu Śródziemnym się ochłodzić“. W poemacie „Petersburg 1917“ pisanym pod szczególnie silnym wpływem Majakowskiego (por. poematy „W. I. Lenin“ i „Dobrze“) internacjonalizm znajduje wyraz poetycki w należytym docenieniu znaczenia Wielkiej Rewolucji Październikowej:

*I wszystkie, wszystkie miasta —*
*Ujrzały zmianę losu*
*W jednej sekundzie świtu.*
*O tej sekundzie świtu,*
*Kiedy z brzegów nocy*
*Ludzie w zaśnieżonych butach*
*Weszli na schody z marmuru.*

Natomiast patriotyzm Hikmeta posiada już dwa aspekty. Z jednej strony dyktuje on mu nieubłaganą nienawiść do rodzimej reakcji (VII List z więzienia, Najdziwaczniejsze ze stworzeń, Za czasów sułtana Hamida), z drugiej zaś napełnia go miłością i poczuciem łączności z masami ludowymi.

*Za czasów sułtana Hamida mój ojciec,*
*Jemen, syn paszy,*
*nie musiał odbywać służby, która by*
*trwała lat dziesięć,*
*On, który pochodził z klasy wysokich*
*urzędników.*
*Ja zmieniłem klasę i stałem się komunistą.*
*Oto lat dziesięć mojej więziennej służby*
*upływa.*
*Zachwycające czasy republiki...*
*I nikt nie wie,*
*jak długo potrwa jeszcze*
*ta patriotyczna powinność.*

*(„Za czasów sułtana Hamida“)*

Tę nadzwyczaj ostrą satyrę uzupełnia Hikmet innym wyznaniem:

*Ludzie! bliscy mi ludzie!*
*Kłamstwem was karmią,*
*a wy przymieracie głodem,*
*a wam trzeba chleba i mięsa.*
*Ani razu nie zjadłszy do syta*
*przy nakrytym stole,*
*opuszczacie świat*
*i obarczone owocami drzewa.*

*(„Wasze ręce i ich kłamstwa“)*

Hikmet bowiem wyraźnie dostrzega klasowy charakter działalności poety. W nieubłaganej walce toczącej się w społeczeństwie klasowym staje zdecydowanie po stronie proletariatu. W poemacie o Hiszpanii pisanym w 1937 r. wyznaje:

*...jestem śpiewakiem ulicy,*
*i nic sztucznego nie ma*
*w głosie śpiewaka ulicy...*

Po latach doświadczeń więziennych postawę swą sprecyzuje jeszcze wyraźniej:

*Życie nie jest żartem,*
*Musisz je wziąć na serio,*
*Ale do tego stopnia,*
*Że, postawiony pod murem*
*Lub odziany w biały fartuch*
*W laboratorium,*
*Umrzesz po to, aby żyli ludzie,*
*Ludzie, których nie znasz nawet z twarzy*
*Umrzesz wiedząc dokładnie,*
*Że nie ma większego piękna*
*większej prawdy.*

*(„O życiu“)*

W tych słowach zamyka Nazim Hikmet najistotniejszą cechę swej poezji: jej integralny związek ze swym trudnym życiem. Życie Hikmeta stworzyło jego poezję, jego poezja daje świadectwo jego życiu.

II

Mimo, iż twórczość „więzienna“ jest niewątpliwie trudna do skodyfikowania ze względu na swój specyficzny charakter i w tej dziedzinie — jak w każdej zresztą nawet i najbardziej intymnej — historia literatury zanotowała pewną tradycję i ciągłość rozwojową. W poezji nurt ten da się prześledzić od ballad Villona aż po „Balladę o więzieniu w Reading“ Oscara Wilde'a. W dziedzinie prozy najbardziej znaną pozycją będą tutaj „Wspomnienia z martwego domu“ Dostojewskiego, ta najmniej nosząca na sobie znamion „dostojewszczyzny“ książka, gdzie głęboka miłość do ludu rosyjskiego i wiara w jego ukryte i drzemiące siły, łączy się z humanizmem wysokiej miary. W literaturze polskiej nurt cierpień, zsyłek i wyroków ciągnie się od czasów rozbiorów aż po rok 1918, a dalej do pierwszych lat po ostatniej wojnie. Już Mickiewicz w „Wykładach o literaturze słowiańskiej“ obok literatury *pielgrzymiej* wskazywał na drugi nurt twórczości polskiej, którą nazwał *zsyłkową*, zaczątek jej widząc w „Dzienniku podróży Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azyę, lądem do portu Ochocka, oceanem przez wyspy Kurylskie do niższej Kamczatki, a stamtąd napowrót do tego portu na psach i jeleniach“**). Pamiętnik Kopcia, generała i dowódcy brygady kawalerii narodowej w powstaniu Kościuszki, zestawia Mickiewicz ze swą ulubioną książką — z „Moimi więzieniami“ (Le mie prigioni) Silvio Pellica, słynnego poety włoskiego i karbonariusza jednocześnie.

Powstanie 1830, 1848, 1863, działalność „Proletariatu“, ruchy socjalistyczne, rok 1905 — wszystkie te etapy przynoszące tysiącom ludzi długoletnie katusze więzienne znalazły swe odbicie w naszej literaturze. Żadna chyba literatura świata nie była tak przepojona martyrologią jak Polska. Dlatego też może poezja Nazima Hikmeta jest nam tak bliska, tym bardziej iż, po roku 1918 cierpienia w kazamatach zaborców zamieniły się w wyroki odsiadywane z łaski rodzimej reakcji. Terror narastającego faszyzmu, którego brutalną przemoc nad jednostką zasygnalizował Lion Feuchtwanger w „Powodzeniu“, u nas znajduje swoje odbicie w bolesnym oskarżeniu pisarza starszego pokolenia, który, chociaż nie czerpał z własnych przeżyć, dał wstrząsający obraz życia więźniów na Dolnym Zamku. To Andrzej Strug ogłasza w 1937 r. powieść „W Nienadybach byczo jest“. Jednocześnie poeci lewicy polskiej, walczącej ofiarnie z rodzimym faszyzmem, dają świadectwo przeżyć i cierpień więźniów Wronek, Mokotowa, Rawicza i Berezy. Szczególnie nasuwają się tutaj nazwiska Władysława Broniewskiego i Leona Pasternaka.

Wiersze Nazima Hikmeta wnoszą w literaturę więzienną ton szczególnie głęboki. Przypomnijmy tutaj pokrótce dzieje tych lat, które stały się dla Hikmeta nowym kręgiem poetyckiego doświadczenia. Na początku 1938 roku policja turecka na rozkaz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeprowadza rewizję w szafach uczniów Wyższej Szkoły Marynarki Wojennej. Znajduje wiersze Nazima Hikmeta oficjalnie wydane i oficjalnie sprzedane w księgarniach. Mimo to sąd wojskowy na tajnym posiedzeniu, bez udziału adwokata, skazuje poetę za „podburzanie wojska przeciw rządowi“ na 28 lat i 4 miesiące więzienia. Nazim Hikmet miał pozostać w więzieniu do roku 1965; uwięziony w 37 roku życia miał opuścić celę jako 64-letni starzec.

*Dziesięć razy obróciła się ziemia*
*wokół słońca,*
*od chwili gdy mnie wrzucono*
*do więzienia.*
*Pytacie, co myśli ziemia:*
*„To nieważne,*
*to tylko chwila“.*
*Pytacie mnie o zdanie:*
*„Dziesięć lat życia mi zabrano“.*

Tak mówi poeta w jednym z wierszy pisanym w 1943 r., gdy przeniesionemu do szpitala, udało się przesłać potajemnie garść tych ukradkiem pisanych liryków, znajdującym się na wolności przyjaciołom. Wiersze te obiegły świat wstrząsając jego sumieniem. Zawiązuje się Międzynarodowy Komitet dla uwolnienia poety. Jednocześnie Milli Emniget, tureckie Gestapo, zaniepokojone rozgłosem „sprawy“ Hikmeta, chce w więzieniu zgładzić poetę, pozorując to następnie bądź popełnieniem przezeń samobójstwa, bądź też śmiercią naturalną w wyniku choroby serca. Te niecne zamiary zostają ujawnione i zdemaskowane. Wszyscy uczciwi ludzie na całym świecie domagają się uwolnienia poety. W lipcu 1950 r. rząd turecki usilnie dbający o pozory swego rzekomego „liberalizmu“ zwalnia Hikmeta z ciężkiego więzienia w Bursa (Anatolia).

Garść wierszy i trzynaście lat powolnego konania — oto jeszcze jeden przyczynek do tezy Marksa, iż ustrój kapitalistyczny niszczy twórców i jeszcze jeden dowód czym płacić trzeba w życiu, by mieć coś do powiedzenia innym. Tylko w najcięższych i najgłębszych doświadczeniach życiowych dojrzewają rzetelne owoce. Każdy prawdziwy pisarz sobą — w ten czy w inny sposób — płaci za swą twórczość. Opłata Hikmeta jest szczególnie wielka i to nakazuje nam szacunek dlań już nie tylko jako dla poety, ale jako i dla człowieka.

Cóż jest najbardziej znamiennego, nadającego ton zasadniczy — wierszom Hikmeta. Wydaje mi się, iż nierozerwalna łączność jaka istnieje w poezji Hikmeta między jego osobistymi przeżyciami a losem i walką ludzi postępu na całym świecie. Hikmet nie jest w swej celi samotny, czuje przy sobie miliony towarzyszy walki, jego poezja zaś poza murami idzie w pierwszym szeregu nacierającego proletariatu. Najbardziej symptomatycznym będzie w tym wypadku wiersz „Angina pectoris“. Doktorowi, który oznajmia poecie o ciężkiej chorobie serca, ten odpowiada:

*...doktorze, oto lat dziesięć,*
*Odkąd nie mam nic dla mojego biednego*
*ludu,*
*Nic oprócz jabłka,*
*Czerwonego jabłka, mego serca.*
*Patrzę w noc poprzez kraty więzienia,*
*Mimo murów przygniatających pierś*
*Serce bije wraz z najodleglejszą gwiazdą.*
*To dlatego, doktorze,*
*Nie z powodu sklerozy naczyń,*
*Nie z powodu zatrucia więzieniem,*
*Mam anginę pectoris.*

— jednocześnie dodaje:

*Jeśli nawet, doktorze, tu jest pół mego*
*serca,*
*To drugie pół z Armią w Chinach*
*Podąża ku Żółtej Rzece.*
*A zresztą, doktorze, co rano o świcie*
*Moje serce idzie w Grecji na rozstrzelanie...*

Drugą cechą znamionującą tę lirykę więzienną jest głęboka refleksja nad najistotniejszymi zagadnieniami naszego bytu, bijąca z każdego wiersza tekstu. W fikcyjnej rozmowie z dawno zmarłymi przyjaciółmi ostrze swego ataku kieruje Hikmet przeciwko fatalizmowi, który mahometanizm głęboko wszczepił w psychikę ludów Wschodu. Jakby odpowiadając na bliski mentalności islamu aforyzm Marka Aureliusza: „Aleksander Macedoński i jego poganiacz mułów — po śmierci ten sam los osiągnęli“ — Hikmet pisze:

*A pewien poeta perski*
*powiada: Śmierć jest sprawiedliwa,*
*z tym samym majestatem zabiera*
*szacha i ubogiego.*
*Haszimie,*
*czemu jesteś tak zdumiony?*
*Bracie, nie słyszałeś nigdy*
*o szachu, który dźwiga węgiel*
*i umiera przy upadku ze statku?*

*...Bo pewien poeta perski*
*powiada: śmierć jest sprawiedliwa...*
*Zostaw butelkę Ahmecie,*
*próżny twój gniew.*
*Wiem, co chcesz odpowiedzieć,*
*od życia żądasz także,*
*by było jak śmierć sprawiedliwe.*

*(„O śmierci“)*

Trudno analizować tutaj dokładnie dorobek Hikmeta — trzeba by bowiem omawiać każdy z jego wierszy, nie ma bowiem tam nawet strzępu poetyckiej waty. Warto jednak na zakończenie zwrócić uwagę na swoisty, głęboki optymizm jaki bije z każdego słowa poety, optymizm który rodzi podkreślana już łączność z ludźmi obozu postępu i pokoju. To ona każe mu wyznać w „radzie dla kolegi więźnia“.

*...musisz się pazurami trzymać życia,*
*chociaż nie jest już przyjemnością;*
*bowiem obowiązkiem wobec wroga*
*jest przeżyć jeszcze dzień, i jeszcze.*

To ona pozwala mu stwierdzić: „Nie chcę umierać i jeśli za kratą na śmierć zamęczą mnie kaci, nawet wtedy nie umrę. Będę żył wśród was, będę żył — w pieśni Paula Robesona, w dźwięcznych wierszach Aragona, w białym gołębiu pokoju, w waszych sztandarach czerwonych i w uśmiechu dokerów francuskich wiernych. Będę żyć na ziemi, wśród ludzi, dla ludzi“. Poezja Nazima Hikmeta nie tylko bowiem rozerwała kraty jego własnego więzienia, ona idzie nieustannie w pierwszym szeregu bojowników, walczących dziś na całym globie, rozrywając kraty, z których zbudowany jest ustrój społeczny nieubłaganie mordujący najlepszych synów ludzkości. Na tym właśnie polega jej płomienny humanizm, jej wielkość — i — nie zawahajmy się użyć zużytego słowa — jej nieśmiertelność!

✻

Polskie przekłady wierszy Hikmeta pióra Ewy Fiszer mówią o trudnej formie i subtelnej metaforyce wierszy Hikmeta i doskonałym wyczuciu poetyckim tłumaczki. Chwilami odnosi się wrażenie, iż mamy przed sobą tekst oryginalny, a nie przekład — to zaś jest chyba największą dla tłumacza pochwałą. Fiszerówna korzystała w swej pracy z przekładów francuskich, angielskich i rosyjskich nie znając języka tureckiego. Wystarczy jednak porównać przekłady zamieszczone w wydanym tomie z tłumaczeniami tych samych wierszy u Wiesławy Szymborskiej (por. „Odrodzenie“, nr 266), czy u Andrzeja Jasińskiego (por. „Dziennik literacki“, nr 178), by spostrzec jak nieporównanie góruje Fiszerówna nad partnerami. Toteż wydarzenie dużej miary, jakie niewątpliwie stanowi wydanie tomiku „Wierszy“ Nazima Hikmeta — jest wielką zasługą i samej tłumaczki. Można by jedynie wyrazić żal, że wybór wierszy jest zbyt fragmentaryczny. Tak np. brak w tomie opublikowanego dopiero ostatnio w prasie radzieckiej poematu o Zoi Kosmodemiańskiej, będącego jeszcze jednym dowodem internacjonalizmu Hikmeta.

**Ludwik B. Grzeniewski.**

*) Nazim Hikmet: Wiersze; tłumaczyła i zaopatrzyła przedmową Ewa Fiszer, „Czytelnik“; 1950, str. 68 + 4 nl.

**) Nb. Mickiewicz zapomniał tutaj o wcześniejszych „Psalmach pokutnych“ Wacława Rzewuskiego.

HOWARD FAST przełożył LECH PIJANOWSKI

## DO NAZIMA HIKMETA

**Twoje mury nie mogły wstrzymać Twoich słów,**
**znalazły one nas, mój bracie,**
**i nasze mury nie mogły ich odsunąć.**
**Tego dnia przybył do mnie do więzienia,**
**mówiąc więziennym szeptem, który dobrze znasz,**
**Albert Maltz, szlachetny pisarz.**
**Jego zbrodnią, jak Twoją: słowa, mówiące o życiu,**
**o nadziei i pokoju, który miłują ludzie —**
**i powiedział mi on, że jesteś wolny.**
**Wolny — powiedział — wolny jest Nazim Hikmet,**
**chodzi wolny po dobrej ziemi rodzinnej,**
**śpiewa głośno i dumnie, by słyszeli go wszyscy.**
**Jak Ci powiedzieć, bracie, towarzyszu, przyjacielu,**
**niewidziany nigdy, a tak dobrze znany,**
**którego cenię wysoko, tak bardzo szanuję —**
**jak Ci powiedzieć, co to oznacza?**
**W tej chwili jesteśmy wolni.**
**W tej chwili serce moje śpiewa pieśń, podobną Twej,**
**i znam Ciebie tak dobrze, jak najlepszego z znajomych,**
**znam Ciebie i Twój ród, cały nasz ród,**
**braterstwo, które pokonuje narody —**
**a oni chcą uspokoić nas,**
**i uciszyć nas poza murami.**
**Dla Ciebie tylko raz uderzyliśmy,**
**a jednak mówię Ci: uwolniłeś nas**
**dwu pisarzy z kraju, który leży**
**pięć tysięcy mil od Twego kraju —**
**z kraju takiego jak Twój, gdzie ludzie źli źle czynią,**
**z kraju takiego tak Twój, gdzie wolność chyli głowę ze wstydu,**
**ale obudzi się jeszcze.**
**Gdy wyszedłeś wolny, zrozumieliśmy**
**tę chwilę wśród naszych murów,**
**wzniesionych przez błaznów, uśmiechniętych morderców,**
**tę chwilę w marszu ludzi do światła i chwały —**
**czyż mam Ci o tym mówić,**
**słyszałeś przecież na pewno pieśń naszych serc!**

ZOFIA BYSTRZYCKA

## NIE WOLNO

**Mój syn ma długie noce,**
**Mój syn ma sny spokojne.**
**Jego niebieskim dzieciństwem**
**zaprzeczam wojnie.**

**Młody przodownik śpiewem**
**zaczyna nocną zmianę.**
**Sypie rękoma gwiazdy,**
**gdy z synem w oknie stanę.**

**Praca odtrąca ciemność,**
**i domy wschodzą zza wzgórz —**
**strzeże snu mego dziecka**
**robotniczy anioł stróż.**

*

**Nie wolno, by dziecka wzrok**
**spaliła bezbronna trwoga.**
**By w jego jasną głowę**
**pikował samolot wroga.**

**Więc rosnę jego strachem,**
**zanoszę się jego krzykiem:**
**ja nie chcę, by bomba H**
**odkryła Amerykę!**

**Dłonie budują pokój.**
**Dłońmi zakryję mu oczy;**
**niech ma kolorowe dnie,**
**spokojny oddech w nocy.**

**I niechaj jedyny głos,**
**który go zbudzić może**
**— to pieśń kopaczki o świcie:**
**kopaczki z ulicy Hożej.**

JANINA BRZOSTOWSKA

## SŁOWA NA POZYCJACH

**To nie ja śpiewam**
**To nie tylko ja!**
**Wraz ze mną śpiewa głos mojego czasu**
**Jasny głos ludów**
**Które moc poznały**
**Swoją**
**I pięści zaciśnięte wznoszą...**

**Oto Korea, Vietnam, Indonezja**
**Wołają:**
**Chcemy wolności!**
**Walczymy!**
**Chiny Ludowe zasadziły drzewo**
**Które gałęźmi sięga Kraju Rad**
**A Burma patrzy w ich stronę i mówi:**
**Ja także z wami!**

**Nad Żółtym Morzem żagle chmur**
**Kuan Chao**
**Nadaje sygnał poezji**
**I biegnie**
**Słów szereg**
**Włącza je do walki wódz**
**Kim Ir Sen**
**Słowa Chińskiego wezwania**
**Do towarzyszy w Korei**
**Do wszystkich**
**Na ziemi towarzyszy!**
**Patrz — już świecą**
**Na swych pozycjach**
**Śmiałe drogowskazy**
**Zbratania ludów!**

**Razem**
**Za wzgardzonych**
**Za zlinczowanych i zakatowanych**
**Za wszystkich całej ziemi głodnych,**
**Sponiewieranych**
**Za dziewczęta, którym kochanków powieszono**
**Za rozstrzelanych z zawiązanymi oczami**
**I za ich krew czerwoną,**
**Za wieki nędzy**
**Chłopi, robotnicy**
**O skórze czarnej, żółtej, białej**
**Słusznych**
**Praw swych dochodzą**
**Surowi i dumni!**

ANDRZEJ WASILEWSKI

# Stefan Żeromski w świetle nieznanych pamiętników

Pamiętniki, które w skrótowym zarysie mamy przedstawić, przechodziły skomplikowane koleje losu. Powstawały one jako dziennik najintymniejszych zwierzeń młodego Żeromskiego, prowadzony wytrwale i bez przerw przez osiem lat: od maja 1882 roku do maja r. 1890. St. Piołun-Noyszewski komunikuje w książce „Stefan Żeromski. Dom, dzieciństwo i młodość" Warszawa 1928, że podczas późniejszego pobytu w Kielcach Żeromski pozostawił gdzieś pamiętniki przez zapomnienie; po latach — w 1912 r. — odnaleziono je w rękach kieleckich pensjonarek (u których cieszyły się podobno wielką poczytnością), „z trudem wyegzekwowano" i odesłano pisarzowi, witającemu zgubę z radością i wzruszeniem.

Do czasów ostatniej wojny pamiętniki były w posiadaniu rodziny pisarza; podczas powstania warszawskiego — złożone do depozytu w Bibliotece Narodowej, wpadły w ręce jakiegoś Niemca, który uwiózł je z sobą do Austrii. Zdołała je tam odszukać komisja radziecka, rewindykująca zagrabione mienie. W ten sposób uchowały się ostatecznie przed hitlerowskimi podpalaczami i w 1945 r. wróciły do Polski.

Nie trzeba szerzej uzasadniać ogromnego znaczenia tych dzienników dla poznania życia i twórczości młodego Żeromskiego. Z dwudziestu tomików (liczących przeciętnie po 200 stron formatu „ósemki"), numerowanych konsekwentnie przez autora, dochowało się do naszych czasów trzynaście. Brakujące tomiki odnoszą się przeważnie do lat kieleckich (5), okres warszawski dochował się z uszczerbkiem 2 tomów, lata guwernerskiej wędrówki po Oleśnicach i Łysowach dochowały się bez strat. Wyjazd z Łysowa w maju 1890 zakończył prawdopodobnie prowadzenie dziennika; w każdym bądź razie nie ma żadnych wiadomości o dalszych tomach z bezpośrednio potem następującego okresu nałęczowskiego.

Opublikowanie pamiętników — prace przygotowawcze czynione są już przez Instytut Badań Literackich — umożliwi rozstrzygnięcie wielu spraw zasadniczych i szczegółowych, rozwiązywanych dotąd na ślepo i w sposób daleki od prawdy przez burżuazyjnych biografów. Nie chodzi tu tylko o prawdę szczegółów, o skąpy dotąd zakres mylnych na ogół wiadomości o faktycznym przebiegu młodzieńczych lat Żeromskiego.

Biografowie ci prześcigiwali się bowiem w przesadzie ocen i wniosków na korzyść wyznawanej ideologii politycznej. Zresztą wystarczy powiedzieć ogólnie o burżuazyjnym zafałszowaniu biografii, bo możliwości w tym dziele mieli oni niewielkie: takie, jakie dzieliły endecję od piłsudczyzny. Poza właściwe im horyzonty myślowe nie wyszedł żaden z biografów Żeromskiego.

Podstawowy dotąd materiał biograficzny zawiera wymieniona już książka Piołuna - Noyszewskiego. Niewątpliwie cenna przez wyczerpujące odkrycia heraldyczne rodu Żeromskich (od r. 1361), a na pewno dzięki opublikowaniu korespondencji pisarza z roku 1892 — przynosi w zasadniczej swej treści mieszaninę rzeczywistych faktów, ckliwych impresji i przeważającą mnogość rzeczy nieprawdziwych. Wraz z drugą pracą tegoż autora pt „Zarys myśli politycznej Stefana Żeromskiego" (Warszawa, 1937) będzie ona w dalszym ciągu artykułu służyła jako wdzięczny materiał dla wniosków o nieograniczonych możliwościach interpretacyjnych endecji w stosunku do zmarłych pisarzy.

Skoro już czcimy niecofnione zdobycze krytyków tego rodu, trzeba także przytoczyć Zygmunta Wasilewskiego „Wspomnienia o Janie Kasprowiczu i Stefanie Żeromskim", (Warszawa 1927). Posiadając niewątpliwie więcej wyrobienia politycznego niż Noyszewski, Z. Wasilewski w sposób dalcko subtelniejszy urabia postać Żeromskiego na duchowego krewniaka endecji: zasadnicza „psychiczna treść" pisarza była „z krwi i kości" endecka; niestety miał on tę wadę, że ulegał błahym przypadkom: „o wyborze drogi zadecydował przypadkowy stosunek do ludzi, którym z właściwym sobie entuzjazmem dla nowych idei zaufał" (loc. cit.).

Działo się to w Szwajcarii w 1894 roku; zapewne przez „przypadek" nie zaufał wtedy Żeromski Z. Wasilewskiemu, z którym razem pracował w rapperswillskiej bibliotece...

Jeżeli chodzi o szczegóły, wspomnienia Wasilewskiego podają szereg mylnych dat i faktów, np. że studia weterynaryjne podjął Żeromski, z „konieczności ulżenia niezamożnemu ojcu", który trzy lata przedtem (1883) umarł, i inn.

Praca Stanisława Adamczewskiego: „Stefan Żeromski. Zarys biograficzny" (Lwów 1937) wolna jest na ogół od tak niepoważnych zakusów interpretacyjnych, choć w części materiałowej dotyczącej młodości pisarza czerpie przeważnie z książki Noyszewskiego i przyjmuje konsekwencje wszystkich ckliwych zmyśleń i nieprawdziwych danych.

Szereg drobniejszych wspomnień i przyczynków biograficznych pomijamy. Z prac obszerniejszych pozostała jeszcze Władysława Pobóg-Malinowskiego pt. „Stefan Żeromski. Życie i twórczość" (Złoczów s. a.). Chociaż w rozdziale „twórczość" są bezcenne klejnoty myśli krytycznej, interesuje nas przede wszystkim część pierwsza. W tej — autor posłużył się przeważnie ogromnymi cytatami z pracy Noyszewskiego przy nader skromnym własnym udziale stylistycznym. Tak dalece posunięta współpraca endecko-piłsudczykowska z natury swojej nie mogła przysporzyć autorowi nadmiernych kłopotów. Zamieniając tylko terminy „nacjonalizm niezależny" na „ideę mocarstwową" a „program wszechpolski" na „mesjanizm narodowy" i zaprawiwszy całość demogogią piłsudczykowskiego „radykalizmu" — zerżnął już resztę w spokoju państwowo-twórczego sumienia.

Na tym trzeba skończyć ten ubogi rejestr, zamykając go należnym wnioskiem: młodzieńcze lata Żeromskiego czekają na właściwe i dokładne oświetlenie. Korzystając z lektury pamiętników postaram się poniżej skreślić najogólniejszy szkic, odkładając bardziej szczegółowe wiadomości dla „Pamiętnika Literackiego".

Pisanie dziennika rozpoczyna Żeromski w r. 1882, będąc uczniem klasy szóstej. Jak już stwierdziliśmy, w obrazie lat gimnazjalnych mamy miejsca puste: od września 1883 do maja 1885 (tomiki 3, 4, 5) i od października 1885 do maja 1886 (tomiki 7, 8), blisko więc 2 i pół lat życia kieleckiego umyka się poznaniu.

W przeciwieństwie do walorów literackich pamiętnika lat warszawskich, zapiski kieleckie są niewyróżniającymi się, nieco egzaltowanymi zwierzeniami gimnazjalisty. Oczywiście w miarę upływu lat szkolnych pogłębiają się one i nabierają niejakiej sprawności stylistycznej, ale ich czytelnik nie mógłby podzielić upartej wiary w przyszłą sławę pisarską, z jaką ośmioklasista opuszczał Kielce po nieudanej maturze. Talent Żeromskiego rozwijał się powoli. W Kielcach był on jeszcze — jak to sam później z nieporównanym humorem określił — „gimnazjalnym i poniekąd, dzięki nieobecności innego, miejskim, ogólnoklerykowskim poetą".

Niezależnie jednak od bardzo jeszcze młodocianego charakteru tych „ogólnoklerykowskich" dramatów i poezji, epopei i rozpraw, czytelnik ten byłby zaskoczony niezwykłym u ucznia gimnazjum oczytaniem, jakąś chciwością intensywnego przeżywania faktów życia i poznawanych spraw, istotnie niezmożoną namiętnością pisarską, przetwarzającą je natychmiast w literacką próbę.

Twórczość z lat gimnazjalnych, której tytuły co jakiś czas sumarycznie wypisuje w dzienniku, była bardzo obfita. Pod datą 19 maja 1882 tak opisuje początek swej drogi pisarskiej:

**19.5.1882**

**Razu jednego siedzimy wieczorem; mój Wojtek, jak go nazywano ogólnie (Stefan Wojtasiewicz) ni stąd ni zowąd proponuje mi, bym napisał wiersz jaki. Przystaję. Będąc raz na Świętym Krzyżu doznałem niezrównanego wzruszenia na widok odwiecznych murów starożytnej świątyni i rozburzonego klasztoru — uczucia te odtwarzam w wierszydełku pt. „Na zwaliskach Świętego Krzyża". Wierszyk ten pokazano panu Bemowi, powstał tym sposobem pierwszy mój wierszyk, za nim poszedł drugi: „Na mogile matki" itd.**

Tegoż miesiąca z namowy Edka Łuszczkiewicza wysłał do „Tygodnika Mód" wiersze „Do sosny" i „Piosnka rolnika", do „Przyjaciela dzieci" — dwa tłumaczenia z Lermontowa, na co wkrótce otrzymał odpowiedź, iż „wierszyki będą pomieszczone w piśmie". Późniejsze wysyłki do pism nie mają już tego powodzenia, choć kaliber utworów stale wzrasta: „poemacik Termopile" i „obszerniejszy dramat pt. Barbara Giżanka — do „Tygodnika Mód", a do „Gazety Kieleckiej" — recenzje teatralne z miejscowych przedstawień.

Przypisywanie Żeromskiemu zamkniętości i wstydliwości autorskiej nie jest słuszne w stosunku do tych najmłodszych lat. Dopiero w r. 1885-6 objawia się jako wstydliwy, kryjący się ze swą twórczością po kątach poeta. Łączy się to z zaniechaniem aż do czasów warszawskich prób szturmowania prasy.

Niezmiernie znamienne dla charakterystyki świadomości społecznej zapamiętałego młodego twórcy są tematy i postacie, jakie pociągają jego wyobraźnię. Najbardziej fascynującymi dla tego pogrobowca drobnego folwarku szlacheckiego okazują się bohaterowie mieszczańsko-demokratycznych ruchów narodowo-wyzwoleńczych: Petöfi, Garibaldi, Mazzini, Ściegienny; wśród bohaterów całobrulionowych „powieści dramatycznych" i „epopei" tą także — Cola di Rienzi, trybun ludu włoskiego, Hus, przywódca czeskiego ruchu narodowowyzwoleńczego, renesansowy mnich Girolamo-Savonarola, spalony przez św. Inkwizycję na stosie za hasła republikańskie. Tak spowiada się Żeromski ze swych zamierzeń:

**7.2.1882**

**W krótkim czasie ukończę Rienzę i biorę się zaraz do Savonaroli... Obok dążności monarchicznych i kazirodztwa — odbijać będę... ubóstwiane przeze mnie dążności republikańskie i świętość zakonnika. Zakochałem się w tej świętej postaci zakonnika Girolamo i umarłbym doprawdy z ochotą, byleby tylko stworzyć tę epopeję.**

**30.6.1883 (Ciekoty)**

**Mam pisać masę rzeczy, a nie piszę nic. Ściegienni mnie wołają, Doroszeńko się skarży... Gdyby mnie tak zobaczono, gdy ja sam gdzie w polu deklamuję, lub kryślę rolę dla moich dramatów? Jestem istotą nadzwyczaj śmieszną.**

Niemałą rolę w rozbudzaniu zapału literackiego i kształtowaniu się poglądów ideowych szóstoklasisty miał profesor języka polskiego w gimn. kieleckim — A. G. Bem. Za jego podnietą rozpoczął Żeromski pisanie dziennika. Profesor jest też cierpliwym czytelnikiem płodów młodej muzy. Łączna epopeja „Savonarola - Rienzi" otrzymała następującą ocenę (rok 1883):

„Na szóstej lekcji pan Bem zwrócił mi kajet z tymi słowy: „styl dobry, liryki wiele, kierunek taki sam, jak ja podzielam — za wiele może dramatycznych wykrzykników w rodzaju ha, ha... itd. Błędy gramatyczne i stylistyczne zdarzają się, ale mimo to znać, że będziesz pisał"... Bem powiedział, że obydwie te postacie nie mają między sobą nic wspólnego".

O „kierunku podzielanym" przez Bema świadczy następujący zaraz potem fragment:

**6.4.1883**

**...Wieczorem pisałem moją powieść, którą poświęciłem mojemu ukochanemu profesorowi. Jest to najpierwsza obszerniejsza moja praca, malująca moje dążności i kierunek republikański, jaki on we mnie rozbudził.**

Oddziaływanie ideologiczne Bema, bardzo silne w roku 1882 i 3, zmniejsza się w następnych latach, a w okresie warszawskim stosunek z profesorem zamienia się w otwarty antagonizm ideowy.

W r. 1885 — przy całym szacunku i uwielbieniu dla opiekuna, młody Żeromski zaczyna myśleć bardziej samodzielnie.

Poglądy Bema — konsekwentnego wyznawcy idei pozytywistycznych, „organicznika" konserwującego wszystkie przymioty myślenia wczesno-kapitalistycznego postępu, republikańskiego aż do granic... lojalności, romantycznego... niewielkim rozmachem zdobyczy polskiego mieszczaństwa — wkrótce zaczynają razić Żeromskiego, rozwijającego się zgodnie z ewolucją ideową drobno-mieszczańskiej, poszlacheckiej inteligencji, dla której lata 1885—1890 były etapem przełomowym.

W kwietniu 83 roku na wizycie u Bema dostaje Żeromski następującą, iście groszowo-łokciową dewizę: „...milczeć, czekać, pracować, nie mieszać się do świata, iść swoją drogą, przyklaskiwać postępowi, trzymać się gruntu realnego! Pamiętać, że dwa a dwa to cztery! że łokieć większy od cala!"

W charakterze zaś nadprogramowego dodatku od romantycznego zakątka swej duszy mieszczucha, nurtowanej niejakim niepokojem — profesor Bem dorzucił:

„Ja sam uwielbiam do pewnego stopnia Żelabowa i jego towarzyszy — ale uwielbiam w ciszy".

Uczeń wiernie zastosował dewizy nauczyciela, jak świadczy zanotowane niemal równocześnie wydarzenie:

**13.4.1883**

**Edward Łuszczkiewicz pod sekretem opowiedział mnie i Feliksowi o formującym się w Galicji tzw. wojsku polskim, którego jest on członkiem. Zadaniem tego stowarzyszenia jest rozbudzanie patriotyzmu w sercach młodzieży. Gdy takim sposobem ma być ugruntowana podwalina — zbierać się ma ciało organizujące, mają nastąpić musztry, zbieranie sił, marsz na Petersburg, wzięcie Petersburga etc, etc. i mnóstwo tym podobnych mrzonek. W takiej zapalonej głowie jak Edka mogły się pomieścić podobne głupstwa. Mógłby mnie ktoś posądzić o niepatriotyzm, muszę się więc wytłumaczyć.**

**Szczęście naszej ojczyzny, zbawienie tego kraju widzę jedynie w socjalizmie rosyjskim. Żadne głupie, w całym znaczeniu tego słowa głupie myśli o powstaniach, mających na celu przywrócenie ziemi naszej, uważam za prowadzące ją wprost do zguby...**

Konspiracja ta była przypuszczalnie fanfaronadą gimnazjalną, nie wiadomo bowiem nic o tworzeniu się w tym czasie w Galicji jakiegoś „wojska polskiego".

Działalność galicyjskiej Konfederacji Narodu Polskiego zakończyła się w r. 1878, w tym samym roku żandarmeria carska tłumi jej warszawskie echo — spisek A. Szymańskiego. Mogły to więc być spóźnione odgłosy tej sprawy, we właściwym tempie docierające do gimnazjalistów Klerykowa.

W ostatnich dwu latach pobytu w Kielcach (1885—6) świadomość społecznopolityczna Żeromskiego zaczyna się kształtować w sposób, odpowiadający mniej więcej linii całego późniejszego okresu pamiętników i przynależny typowym ewolucjom warstwy społecznej, do której należał.

O ile w omawianych latach poprzednich (brak nam tu wiadomości o okresie przejściowym — 1884), obok pozytywistycznych poglądów Bema docierały do chłopca mętne i nieokreślone w pojmowaniu uczniów kieleckich „idee socjalistyczne" (notuje np. Żeromski w r. 1883 rzecz następującą: „zacząłem pisać nową powieść. Będzie ona wieńcem tego, co napisałem dotąd... wyprowadzę tam ubóstwianą moją ideę — socjalizm w całej pełni"), w czym wyraziły się zapewne pogłosy Wielkiego Proletariatu, w tym okresie przejściowego niewykrystalizowania antagonizmów klasowych oddziałujące silnie na drobnomieszczańskie żywioły demokratyczne — to już w r. 1885 zdobywa Żeromski określoną świadomość społeczną. A budzący się nacjonalizm nie jest jeszcze tak silny, aby mógł przesłonić istotny charakter carskiego ucisku narodowego. Nawet po Kielcach krążą niewyraźne echa sojuszu „Proletariatu" z „Narodną wolą" budząc myśli o braterstwie uciskanych:



Stefan Żeromski w latach szkolnych

**3.6.1885**

**Dziś czytać będę do rana dzieła Pisariewa — wolnodumca ruskiego... Wieje (z jego dzieł) serdeczne ciepło przekonania — głęboka miłość ludu i niedoktrynerski, ale ciepły, serdeczny duch republikański... Nie jest to krytyk w rodzaju naszego Tyszyńskiego lub Chmielińskiego — to krytyk nie dla krytyki, lecz posługujący się nią dla uwypuklenia idej osobistych...**

**Och ta Rosja. Co jest lepszego w literaturze jej — to wyklęte i poniewierane.**

Obraz duchowy drobnoszlacheckiego radykalisty zarysowuje się na przestrzeni tych dwu lat z całkowitą konsekwencją: tradycje burżuazyjnych rewolucji, walk narodowo-wyzwoleńczych Grecji, Węgier, Włoch — podsycają poczucie odrębności ideowej, stanowią sanktuarium nietykalnych, najwyższych, świętości:

---

**Wiktor Hugo, Konopnicka — to sztandar nasz — mój, Bernarda, Wacka. — Inni niech idą z Krasińskim — tylko od naszego sztandara z daleka. Janek za bardzo wierzy w arystokrację umysłową. Kto wie, czy człowieka z gminu nie nazwałby w ślad za prof. Siemiradzkim wyrazem: skot — cechującym wybornie arystokratyczne myślenia wielkich panów, magnatów, książąt — prałatów...**

---

**Czardasz jest ulubionym tańcem moim. Staje mi przed oczyma ten lud, co go kocham, jak kocham lud francuski, lud śpiewający:**

**„Eilen a' Ilaza".**
**Ojczyzna Szandora Petöfi...**

Rzecz to dla specyfiki klasowej świadomości drobnoszlachectwa w kraju niezrealizowanego w pełni przewrotu burżuazyjnego („pruska droga" rozwoju kapitalizmu w Polsce) niezmiernie charakterystyczna, że ostrze protestu społecznego skierowane jest głównie przeciw przywilejom magnaterii ziemiańskiej, wielkiej burżuazji obszarniczej („Cóż może być piekielniejszego nad czytanie stańczykowskiego piśmidła!"). W parze z tym idzie republikańska nienawiść do kleru, ostoi feudalnego monarchizmu:

**13.5.1885**

**To jest moja odpowiedź ks. prefektowi (T. Czerwińskiemu — przyp. mój) na jego dzisiejsze potępienie republikanizmu. Zadrapał mnie swym ortodoksyjno-arystokratycznym pazurem boleśnie. Ja, jak Heine, mam dwie namiętności: do pięknych kobiet i do rewolucji francuskiej — a ten nasz „kałdun" wywiódł logicznie swe tezy o monarchii i potępił jedną z moich namiętności. Za to drapanie więc — ma moją odpowiedź. Tym wierszem będę drapał wszystkich kałdunów, gdy mi który, jak ten dziś, dohaczy do żywego...**

**...Lekcje religii wprowadzają mnie we wściekłość. Kanonik rysuje zaburzenia we Włoszech z czasów Garibaldiego. Świętą postać Mazziniego obrzucił błotem. Nie. Nie zejdziem się nigdy z czarnymi aniołami. Nienawidzę księży. Ranią mnie najboleśniej. Te jezuickie kruczki, to cofanie się i rzucanie naprzód, te wybiegi na polu logiki, filozofii — są mi wstrętne. Ukrywają fałsz i niskie cele.**

Ks. prałat T. Czerwiński, dający się ponadto poznać z przemówienia wygłoszonego na Zjeździe Koła Kielczan w r. 1924, musiał być istotnie jaskrawym okazem klerykalnej ciemnoty i wsteczmictwa, skoro wzmianki o lekcjach religii pojawiają się jeszcze kilkakrotnie, zawsze pełne żywego oburzenia.

Nie od rzeczy będzie tu wspomnieć o szczerych pragnieniach Noyszewskiego, który pragnąc zneutralizować niepewne wieści o kieleckim okresie Żeromskiego, czyni go raz na zawsze „pobożnym młodzieńcem, gorliwie praktywującym."

Drobnoszlachecka postępowość miała jednak swoje ostre granice, których nie przekracza Żeromski.

Lamentując nad nędzą mało- i bezrolnych chłopów nie przyznaje im, jak to czynili „narodnicy", cech dojrzałego do samooswobodzenia żywiołu.

Tylko szlachetny czyn uświadomionych moralnie dobrych właścicieli folwarczków może przyczynić się do poprawy doli chłopskiej, oczywiście w rozmiarach burżuazyjno-demokratycznych ulepszeń. Wybornie zarysowuje te granice fragment pochodzący z dni gościny Żeromskiego na podkieleckim folwarczku Zaleskich:

**Taki dwór — to jest polski, zamożny w całym znaczeniu tego wyrazu, wykształcony, postępowy punkt cywilizacyjny w danej okolicy. Tu domator-szlagon znaleźć może: komfort, wykształcenie, ogładę, zaczerpnąć pojęcia o posłannictwie szlachcica.**

Gusty literackie, normatywne sformułowania pod adresem literatury zapisywane w dzienniku, oddają bezbłędnie ten przejściowy okres życia Żeromskiego. Nad lekturą Orzeszkowej i Prusa notuje: „**Chodzi tu o wykrycie prawdy, która jest zarazem tendencją", „ścisły obiektywizm i tendencja bądź co bądź wielkie składają się na tę perłę"** (o „Meirze Ezofowiczu" Orzeszkowej) i formułuje tu pozytywistyczny program realizmu krytycznego, w którym „tendencja" znaczy „odbicie procesu społecznego". Ale jednocześnie programowi temu przeciwstawia naturalizm i pisze obszerną rozprawę pt. „Jedynym prawem natura".

A uroki naturalizmu i pozytywistyczny „kult nauk ścisłych" są tak silne, że jedynym projektem życiowym, dobranym nota bene pod kątem najściślejszych zainteresowań literackich, są dla opuszczającego Kielce Żeromskiego studia medyczne.

**Ach, jak najprędzej uczyć się fizjologii. Istnieje ścisły stosunek między cierpieniami ciała i duszy, pomimo niewidocznego napozór ich źródła.**

Po zawiedzionych planach na medycynę w Tomsku („**Sybir, Sybir! Cała moja suma marzeń w nim się zamyka; stałbym się wielkim doprawdy, gdybym mógł chodzić na medycynę w Tomsku**") pozostawał uniwersytet warszawski, a po nieudanej maturze — warszawskie studium weterynarii, dopuszczające słuchaczy bez patentu dojrzałości.

W sierpniu 1886 Żeromski wyjeżdża do Warszawy (na ogół mylnie podaje się tu rok 1887).

Skończył się okres kielecki. Jakżeby jednak w życiu polskiego pisarza w okresie najbujniejszej młodości mogło nie być Maryli! Dalej więc, szukajmy! Jest!— Ludwinia.

Z króciutkiego, młodzieńczego sentymentu do 16-letniej Ludwini Dunin-Borkowskiej Piołun-Noyszewski wysnuł na 5 i pół stronic druku rozdzierający dramat, który „duży miał wpływ na ukształtowanie się pesymistycznego światopoglądu Żeromskiego" (tamże, str 127).

A za Noyszewskim — Adamczewski w „Przypisach do „Syzyfowych prac" i Malinowski w cytowanym już dziele — przez cytaty i przez własne, najintymniejsze wynurzenia na temat nieskazitelnej lecz nieszczęśliwej miłości młodzieńca do przeczystej lecz innemu przyrzeczonej dzieweczki — uczynili zadość polonistycznej brechcie... Koniecznie trzeba dodać, że, jak niezbicie wynika z dziennika, w trzy miesiące po finale dramatu młodzieniec pisał płomienne ody do oczu Helenki S., a w 6 miesięcy...

Dajmy zresztą pokój przelotnym młodzieńczym sprawom. Pesymizm wielkiego pisarza z pewnością nie miał źródeł „w dziejach 18-letniego serca rzewnych i bolesnych" jak to w swej niepoważnej fomule człowieka chciał widzieć Noyszewski.

**Andrzej Wasilewski**

*(Dokończenie w następnym numerze)*

MAKSYM GORKI

Przełożył JULIAN STAWIŃSKI

# JEDEN Z KRÓLÓW REPUBLIKI*)

Królowie stali, nafty i wszelcy inni królowie Stanów Zjednoczonych zawsze niepokoili moją wyobraźnię. Ludzi, którzy mają tak dużo pieniędzy, nie mogłem sobie wystawić jako ludzi zwyczajnych.

Zdawało mi się, że każdy z nich ma co najmniej trzy żołądki i półtorej setki zębów w pysku. Byłem przekonany, że milioner codziennie, od szóstej rano do dwunastej w nocy — je bez wytchnienia. Pochłania najdroższe potrawy: gęsi, indyki, prosięta, rzodkiewki z masłem, puddingi, keksy i tym podobne smaczne rzeczy. Wieczorem jego szczęki są już tak zmęczone pracą, że każe przeżuwać jedzenie Murzynom, a sam tylko je połyka. Wreszcie, jego energia wyczerpuje się zupełnie i, ciężko dyszącego, zlanego potem, Murzyni wynoszą do sypialni. Nazajutrz zaś, od szóstej rano znowu zaczyna swe uciążliwe życie.

Ale i największe wytężanie sił nie pozwala mu przejeść nawet połowy procentów od kapitału.

Takie życie jest, oczywiście, ciężkie. Ale — cóż robić? Jakiż jest sens być milionerem, jeżeli nie można zjeść więcej niż zwykły człowiek?

Zdawało mi się, że milioner nosi bieliznę ze złotogłowiu, obcasy jego butów podbite są złotymi gwoździami, a na głowie, zamiast kapelusza, nosi kołpak z brylantów. Surdut jego uszyty jest z najdroższego aksamitu, ma co najmniej pięćdziesiąt stóp długości i zdobią go złote guzy w ilości co najmniej trzystu sztuk. W święta wkłada osiem takich surdutów i sześć par spodni naraz. Pewnie, że to niewygodne i krępujące... Ale, będąc tak bogatym, nie można przecież ubierać się tak jak wszyscy...

Sądziłem, że kieszeń milionera jest jak jama, gdzie łatwo można schować kościół, gmach Senatu i wszystko, co chcieć... Objętość brzucha takiego dżentelmena wydawała mi się podobna do ładowni sporego transatlantyku, nie mogłem jednak wyobrazić sobie długości nóg i spodni tego stworu. Ale myślałem, że kołdra pod którą śpi, musi mieć co najmniej milę kwadratową. A jeżeli żuje tytoń, to oczywiście najlepszy i po dwa funty na raz. A jeżeli zażywa tabakę, to po funcie na niuch. Pieniądze są przecież po to, by je wydawać...

Palce jego rąk mają zadziwiające czucie i czarodziejską moc wydłużania się według woli: jeżeli siedząc w New Yorku poczuje, że gdzieś na Syberii wyrósł dolar, — wyciąga rękę poprzez cieśninę Berynga i zrywa ulubioną roślinkę, nie ruszając się z miejsca.

Dziwna rzecz, ale przy tym wszystkim nie mogłem sobie wyobrazić jak wygląda głowa tego potwora. Co więcej, głowa wydawała mi się zupełnie zbyteczna przy tej masie mięśni i kości, ożywianej pragnieniem wyciskania ze wszystkiego złota. W ogóle moje pojęcie o milionerze nie przybrało jeszcze ostatecznej formy. Krótko mówiąc, były to przede wszystkim długie, chwytliwe ręce. Objęły całą kulę ziemską, przytknęły ją do wielkiej, ciemnej paszczy, i paszcza ta, ociekając śliną, pożądliwie ssie, gryzie i żuje naszą planetę, jak gorący pieczony kartofel...

Można sobie wyobrazić moje zdumienie, kiedy, spotkawszy milionera, zobaczyłem, że jest to najzwyklejszy człowiek pod słońcem.

Siedział przede mną w głębokim fotelu wysoki, chudy staruszek, ze złożonymi spokojnie na normalnej wielkości brzuchu brunatnymi, pomarszczonymi rękoma zwykłych ludzkich wymiarów. Zwiędłe jego policzki były starannie wygolone, bezsilnie opadająca dolna warga odsłaniała dobrze zrobione szczęki utkane złotymi zębami. Wygolona, bezkrwista i cienka górna warga szczelnie przylegała do sztucznej żuchwy i, kiedy staruszek mówił, prawie nie poruszała się. Bezbarwne oczy były bez brwi, matowa czaszka pozbawiona była włosów. Zdawało się, że tej twarzy jakby brak trochę skóry, a całość — czerwonawa, nieruchoma i gładka — przypominała twarzyczkę noworodka. Trudno było określić, czy stwór ten rozpoczyna dopiero życie, czy też zbliża się do jego końca...

Ubrany był również jak zwykły śmiertelnik. Pierścień, zegarek i zęby — to całe złoto jakie miał na sobie. Razem wzięte ważyło chyba mniej niż pół funta. W ogóle, człowiek ten przypominał z wyglądu starego sługę z arystokratycznego domu w Europie...

Urządzenie pokoju, w którym mnie przyjął, nie uderzało przepychem i nie zachwycało pięknem. Meble były solidne, to wszystko co można o nich powiedzieć.

Zapewne do tego domu zachodzą czasami słonie — oto jaką myśl nasuwały meble.

— To pan jest... milioner? — zapytałem nie wierząc własnym oczom.

— O, tak! — odpowiedział staruszek, z przekonaniem kiwając głową.

Udałem, że mu wierzę i postanowiłem od razu wyprowadzić go na czyste wody.

— Ile mięsa może pan zjeść na śniadanie? — zapytałem.

— Nie jadam mięsa! — oświadczył staruszek. — Ćwiarteczka pomarańczy, jajko, mała filiżanka herbaty — to wszystko...

Jego niewinne oczy niemowlęcia błyszczały przyćmionym blaskiem jak dwie wielkie krople mętnej wody i nie dostrzegłem w nich ani iskierki kłamstwa.

— Dobrze! — powiedziałem zdumiony — ale niech pan będzie szczery, niech mi pan odpowie otwarcie — ile razy dziennie pan jada?

— Dwa! — odpowiedział spokojnie. — Śniadanie i obiad — to mi zupełnie wystarcza. Na obiad talerz zupy, białe mięso i coś słodkiego. Owoce, filiżanka kawy. Cygaro...

Moje zdumienie rosło jak na drożdżach. Staruszek spoglądał na mnie oczyma świętego. Nabrałem tchu i powiedziałem:

— Ale jeśli to prawda, to co pan robi z pieniędzmi?

Staruszek lekko wzruszył ramionami, oczy jego poruszyły się w orbitach i odpowiedział:

— Robię nimi pieniądze...

— Po co?

— Żeby zrobić więcej pieniędzy...

— Po co? — powtórzyłem pytanie.

Staruszek pochylił się ku mnie opierając się łokciami na poręczach fotela i z odcieniem pewnego zaciekawienia spytał:

— Pan — wariat?

— A pan? — odpowiedziałem pytaniem.

Staruszek przechylił głowę i wycedził przez złote zęby:

— Zabawny człowiek... Pierwszy raz chyba widzę takiego...

Następnie podniósł głowę i, rozdziawiając usta od ucha do ucha, zaczął mi się przyglądać w milczeniu. Sądząc ze spokoju jego twarzy najwidoczniej uważał siebie za człowieka zupełnie normalnego. W jego krawacie zauważyłem szpilkę z niewielkim brylantem. Gdyby kamień był wielkości obcasa — jeszcze bym coś nie coś rozumiał.

— Czym się pan zajmuje? — zapytałem.

— Robię pieniądze! — odpowiedział krótko, wzruszając ramionami.

— Fałszerz pieniędzy? — wykrzyknąłem z radością; wydało mi się, że bliski jestem odkrycia tajemnicy. Ale w tej samej chwili staruszek dostał jakby ataku czkawki. Całe jego ciało przebiegały drgania, jak gdyby czyjaś niewidzialna ręka łaskotała go pod pachami. Mrugał oczyma bez przerwy.



rys. Jan Lenica

— To zabawne! — powiedział przychodząc do siebie i spojrzał mi w twarz wilgotnym z zadowolenia wzrokiem. — Niech pan jeszcze o co zapyta! — zaproponował i nie wiadomo dlaczego wydął policzki.

Namyśliłem się i spytałem tonem stanowczym:

— A jak pan robi pieniądze?

— Aha! Rozumiem! — powiedział, kiwając głowa. — To bardzo proste. Mam linie kolejowe. Farmerzy produkują towary. Ja dostarczam je na rynek. Oblicza się, ile pieniędzy trzeba zostawić farmerowi, żeby nie umarł z głodu i mógł dalej pracować, a całą resztę zabiera się, jako opłatę za przewóz. To bardzo proste.

— A farmerzy są zadowoleni?

— Chyba nie wszyscy! — Ale mówią, że nigdy nie można wszystkim dogodzić. Zawsze są dziwacy, którzy zrzędzą.

— Rząd panu nie przeszkadza? — zapytałem nieśmiało.

— Rząd? — powtórzył i zamyślił się, pocierając palcami czoło. Potem, jakby coś sobie przypomniał, kiwnął głową. — Aha... to ci... w Waszyngtonie? Nie, oni nie przeszkadzają. To bardzo porządni chłopcy... są między nimi i moi koledzy klubowi. Ale widuję ich rzadko... więc czasem o nich zapominam. Nie, oni nie przeszkadzają, — powtórzył i zaraz zapytał z zaciekawieniem:

— A czy są rządy, które przeszkadzają ludziom robić pieniądze?

Byłem zakłopotany własną naiwnością i jego mądrością.

— Nie, — powiedziałem półgłosem — ja nie o tym... ja, widzi pan, myślałem, że czasami rząd powinien zabraniać jawnej grabieży.

— N-no! — zaoponował. — To idealizm. Tutaj to nie przyjęte. Rząd nie ma prawa wtrącać się do spraw prywatnych...

Moja nieśmiałość wzrastała wobec tej spokojnej mądrości dziecka.

— Ale czy ruina wielu ludzi przez jednego, to — sprawa prywatna? — poinformowałem się uprzejmie.

— Ruina? — powtórzył, szeroko otwierając oczy. — Ruina — to kiedy robocizna jest droga. I kiedy są strajki. Ale my mamy emigrantów. Oni zawsze obniżają płace robotnicze i chętnie zastępują strajkujących. Kiedy ich nazbiera się w kraju tyle, aby pracowali tanio i dużo kupowali — wszystko będzie w porządku.

Ożywił się trochę i już mniej przypominał staruszka i niemowlę w jednej osobie. Cienkie, ciemne jego palce poruszyły się, a suchy głos szybciej zaskrzeczał mi w uszach.

— Rząd? To nawet interesująca sprawa. Tak. Dobry rząd jest konieczny. Załatwia ważne sprawy: w kraju powinno być tyle ludności, ile potrzeba, żeby kupiła u mnie wszystko co chcę sprzedać. Robotników powinno być tyle, żeby mi ich nie brakło. Ale — ani jednego więcej! Wtedy nie będzie socjalistów. Ani strajków. Rząd nie powinien pobierać wysokich podatków. A wszystko co ludność może płacić — wezmę ja sam. Oto co nazywam — dobry rząd.

— Przejawia głupotę — to niewątpliwa oznaka poczucia własnej wielkości, — pomyślałem. — Chyba naprawdę jest królem...

— Czego mi trzeba, — ciągnął staruszek pewnym siebie i stanowczym tonem — to tego, żeby w kraju był porządek. Rząd za niewielką opłatą wynajmuje różnych filozofów, którzy co niedzielę co najmniej przez osiem godzin uczą lud szacunku dla prawa. Jeżeli filozofowie nie wystarczą — puszczajcie w ruch żołnierzy. Tu ważne są nie sposoby, ale wyniki. Konsument i robotnik muszą szanować prawo. To wszystko! — zakończył, bębniąc palcami po stole.

— Nie, on nie jest głupi, czyżby nie był królem? — pomyślałem; i zapytałem

— Czy jest pan zadowolony z obecnego rządu?

Nie odpowiedział od razu.

— Robi mniej niż może. Powiadam: emigrantów trzeba na razie wpuszczać do kraju. Ale my mamy wolność polityczną, z której oni korzystają, — za to powinno się płacić. Niech więc każdy z nich przywozi ze sobą choćby pięćset dolarów. Człowiek, który ma pięćset dolarów jest dziesięć razy lepszy od takiego, który ma tylko pięćdziesiąt... ludzi złych — włóczęgów, nędzarzy, chorych i podobnych próżniaków nigdzie nie trzeba.

— Ale przecież to zmniejszy dopływ emigrantów... — powiedziałem.

Staruszek kiwnął głową.

— Z czasem będę domagał się zupełnego zamknięcia dla nich drzwi do kraju... A na razie niech każdy przywiezie trochę złota... To przyda się krajowi. Następnie trzeba przesunąć termin nabycia obywatelstwa. Później trzeba będzie to w ogóle skasować. Niech ci, którzy chcą pracować dla Amerykanów, pracują, ale wcale nie należy dawać im praw obywateli amerykańskich. Dosyć już zrobiono Amerykanów. Każdy z nich sam powinien zatroszczyć się o to, by ludność kraju powiększała się. Wszystko to jest sprawą rządu. Trzeba go zorganizować inaczej. Wszyscy członkowie rządu powinni być akcjonariuszami przedsiębiorstw przemysłowych — wtedy prędzej i łatwiej zrozumieją interesy kraju. Teraz muszę senatorów kupować, aby ich przekonać, że koniecznie mi są potrzebne . różne drobne rzeczy. A wtedy będzie to zbyteczne.

Westchnął, założywszy nogę na nogę i dodał:

— Życie ocenia się trafnie tylko z wysokości góry złota.

Teraz, kiedy jego poglądy polityczne były już dostatecznie wyjaśnione, zapytałem:

— A co pan myśli o religii?

— O! — wykrzyknął, uderzając się po kolanie i energicznie poruszając brwiami. — Myślę bardzo dobrze! Religia jest konieczna dla ludu. Szczerze w to wierzę! Nawet w niedziele sam wygłaszam w kościele kazania.. tak, a jakże!

— A co pan mówi? — spytałem.

— Wszystko, co może powiedzieć w kościele prawdziwy chrześcijanin, wszystko! — powiedział z przekonaniem. — Kazania wygłaszam, oczywiście, w biednej parafii — biedacy zawsze potrzebują dobrego słowa i ojcowskich pouczeń... Mówię im...

Twarz jego przybrała na chwilę wyraz dziecięcy, ale zaraz potem mocno zacisnął usta i wzniósł oczy do sufitu, gdzie amorki wstydliwie zakrywały obnażone ciało tłustej kobiety o różowej skórze yorkshirskiej świni. W głębi jego bezbarwnych oczu odbiła się pstrokacizna barw na suficie i zamigotały różnokolorowe iskierki. Rozpoczął cichym głosem:

— Bracia i siostry w Chrystusie! Nie ulegajcie podszeptom chytrego szatana zawiści, odpędzajcie daleko od siebie wszystko co ziemskie. Życie ziemskie jest krótkotrwałe: tylko do lat czterdziestu jest się dobrym robotnikiem, później — nie przyjmują już do fabryk. Życie jest kruche. Wystarczy jakiś nieostrożny ruch ręki przy pracy — i maszyna miażdży wam kości; udar słoneczny — i już po was! Wszędzie czyhają na was choroby, wszędzie czai się nieszczęście! Biedny człowiek podobny jest ślepcowi na dachu wysokiego domu, — dokądkolwiek pójdzie, spadnie i rozbije się, jak mówi apostoł Jakub, brat apostoła Judasza. Bracia! Nie powinniście cenić życia ziemskiego, które jest tworem szatana, łowcy dusz. Królestwo wasze, o ukochane dziatki Chrystusa, nie jest z tego świata, jest ono w niebiesiech, podobnie jak i królestwo ojca waszego. I jeżeli cierpliwie, bez skarg, bez szemrania, zakończycie w spokoju waszą ziemską wędrówkę — On otworzy wam wrota raju i za trudy na ziemi nagrodzi was wieczną szczęśliwością. Życie doczesne jest tylko czyśćcem dla waszych

*) Z tomu „Artykuły i pamflety", który ukaże się wkrótce w polskim przekładzie nakładem „Książki i Wiedzy".

EDWARD HOŁDA

## ELEKTROWNIA NA WOŁDZE

Potężnie toczy Wołga
nurt siły życiodajny.

Rdza na rozbitych czołgach,
w zbożach słoneczne kombajny.

Pola niedawno krwawiące
śpiew wiodą pszeniczny i żytni.

Niech wichrem się niesie ten koncert!
Republiko pokoju
kwitnij!

Pięści na młotach i świdrach,
czynem historię się pisze:
Niech światłem uderzy
Stalingrad!
Niech chluśnie energią
Kujbyszew!
Niech zadrżą krwawi maklerzy
przekupni i płascy jak dolar.
Falo światła
uderzaj!
Wzbierajcie plonami pola!

Turbiny, kanały, zapory —
radość powszednia — wszystkim.
Republiko pokoju
toruj
trakt
świetlistymi błyski!

Ziemię jak matka dziecko
nakarmimy ciepłem i wodą.
Kwitnij
epoko radziecka!
Rośnij
robocza swobodo!

Rzucimy łukiem na niebo
Żarliwą przyjaźni tęczę.
Przyszłości pachnąca chlebem
pękają ucisku obręcze.

Rozświetlimy życie szeroko
elektrycznymi
łunami.
Lotności przydamy obłokom.
Świat rozbudzony
z nami!

Moc
krzepnie
co czerwień rozpina
nad naszym — po przyszłe aż wieki.
Promienie gwiazdy
Stalina
sięgają po Berlin
i Pekin!

## DZIECIOM WYSOCICKICH SPÓŁDZIELCÓW

Jest kremlowska czerwona wieża
I jest gwiazda, gwiazda na wieży,
Blask jej światem biegnie na ścieżaj,
Wokół miasto natchnione leży.

W chmurach nurza wieża swe czoło,
Jest na wieży uwite gniazdo,
W gnieździe czujny pokoju gołąb
Pod kremlowską czerwoną gwiazdą.

Jest spółdzielcza wieś Wysocice,
Na wsie inne roztacza światło.
Sieją chłopi we wsi pszenicę,
Zbiera plony warczący traktor.

Wieży bystrej czoło wysokie,
Wieży dumnej, wieży czerwonej...
Widać wieżę z spółdzielczych okien,
Gdy się twarzą zwrócić w jej stronę.

Do spółdzielczych polskich Wysocic
Z Kremla droga prosta jak promień.
Gołąb kiedy schyli się w locie
W skrzydła ujmie je niby w dłonie.

Raz się schylił, usiadł na roli
Aby obmyć pióra swe w rosie,
Gdy się schylił z piór jego orlich
W ziemię żyzną gwiezdny padł posiew.

Świtem ledwo rozdniałym — wcześnie
Rozgadał się motor traktora...
Powrót z pracy wieszczono pieśnią —
Traktor z ziemi gwiazdę wyorał.

Skupili się ludzie gromadą
Nad gwiazdą kremlowską czerwoną.
Wykuwali z tej gwiazdy — radość,
Odblask gwiezdny w oczach im płonął.

dusz, i im więcej tutaj cierpicie, tym większa szczęśliwość oczekuje was tam, — jak powiedział sam apostoł Judasz.

Wskazał ręką na sufit, pomyślał i ciągnął zimnym i twardym głosem:

— Tak, drodzy bracia i siostry! Całe to życie jest marne i znikome, jeżeli nie składamy go w ofierze miłości bliźniego, ktokolwiek to będzie. Nie wydawajcie serc waszych we władzę biesów zawiści! Czego możecie zazdrościć? Dobra ziemskie — to mamidła, to igraszki szatana. Wszyscy pomrzemy — bogaci i biedni, królowie i wyrobnicy, bankierzy i zamiatacze ulic. W wonnych rajskich ogrodach wyrobnicy będą może królami, a król będzie zmiatał miotłą ze ścieżek ogrodu opadłe liście i papierki z cukierków, którymi będziecie się żywić każdego dnia. Bracia! Czegóż pragnąć na ziemi, w tym ciemnym lesie grzechu, gdzie dusza błąka się jak dziecię? Idźcie do raju drogą miłości i łagodności, znosząc w milczeniu wszystko, co wam przypadnie w udziale. Miłujcie wszystkich, nawet tych, którzy was poniżają...

Znów przymknął oczy, zakołysał się w fotelu i ciągnął:

— Nie dawajcie posłuchu ludziom, którzy budzą w sercach waszych grzeszne uczucia zawiści, wskazując wam nędzę jednych, a bogactwo drugich. Ci ludzie — to wysłannicy szatana, bowiem Pan zakazuje zazdrość bliźniemu. I bogaci są biedni, są ubodzy w miłość ku nim. Umiłujcie bogatego, albowiem on jest wybrańcem bożym, — zawołał Judasz, brat Pański, arcykapłan świątyni. Nie dawajcie posłuchu głoszeniu równości i innych wymysłów szatana. Cóż znaczy równość tu, na ziemi? Starajcie się tylko zrównać między sobą w czystości dusz waszych przed obliczem Boga waszego. Dźwigajcie cierpliwie wasz krzyż, a pokora umniejszy wam ten ciężar. Z wami jest Bóg, dziatki moje, a więcej niczego wam nie trzeba!

Staruszek umilkł, usta miał otwarte i, błyskając złotymi zębami, spoglądał na mnie z triumfem.

— Umie się pan posługiwać religią! — zauważyłem.

— O tak! Znam jej wartość, — powiedział. — Powtarzam panu — religia niezbędna jest dla biednych. Odpowiada mi. Na ziemi wszystko należy do szatana, mówi religia. O człowiecze, jeżeli chcesz zbawić swą duszę, nie pragnij i nie tykaj niczego tu, na ziemi. Będziesz się rozkoszował życiem po śmierci — w niebiosach wszystko jest dla ciebie! Kiedy ludzie w to wierzą — łatwo sobie z nimi radzić. Tak. Religia — to oliwa. Im obficiej będziemy nią oliwić machinę życia, tym mniej będzie tarcia wśród części, tym łatwiejsze zadanie maszynisty...

— Tak, on jest królem — zdecydowałem i z szacunkiem zapytałem tego bliskiego potomka świniopasa:

— A czy siebie uważa pan za chrześcijanina?

— O tak, oczywiście! — zawołał z głębokim przekonaniem. — Ale, — podniósł rękę do góry i powiedział z namaszczeniem: — jestem równocześnie Amerykaninem, a jako taki jestem surowym moralistą...

Twarz jego przybrała wyraz dramatyczny: wydął wargi i nastroszył się.

— Co pan chce przez to powiedzieć?... — dopytywałem się zniżonym głosem.

— Niech to zostanie między nami! — zastrzegł się. — Dla Amerykanina niepodobieństwem jest uznać Chrystusa! — oświadczył po cichu.

— Niepodobieństwem? — wyszeptałem po chwili.

— Oczywiście! — potwierdził również szeptem.

— A dlaczego? — zapytałem po krótkim milczeniu.

— On był nieprawym dzieckiem! — staruszek przymrużył oko i rozejrzał się dokoła. — Pan rozumie? W Ameryce dziecko nieprawe nie może być nie tylko bogiem, ale nawet urzędnikiem. Nie przyjmą go w żadnym przyzwoitym towarzystwie. Żadna panienka nie wyjdzie za niego za mąż. O, my jesteśmy bardzo surowi! A gdybyśmy uznali Chrystusa — musielibyśmy uznać wszystkie nieprawe dzieci za porządnych ludzi... nawet gdyby to były dzieci Murzyna i białej. Niech pan pomyśli, jakie to straszne! Co?

Musiało to być rzeczywiście straszne — oczy staruszka pozieleniały i stały się okrągłe jak u sowy. Z wysiłkiem podciągnął dolną wargę tak, że przywarła mu szczelnie do zębów. Zapewne uważał, że ten grymas nada jego twarzy wyraz surowy i imponujący.

— A Murzyna żadną miarą nie może pan uznać za człowieka? — dopytywałem się, przytłoczony moralnością demokratycznego kraju.

— Co za naiwny człowiek! — zawołał ze współczuciem. — Ależ oni są czarni! I śmierdzą. Murzyna linczujemy gdy tylko dowiemy się, że żył z białą jak z żoną. Od razu sznurek na szyję i na drzewo... nie tracąc czasu! Jesteśmy bardzo surowi, gdy chodzi o moralność...

Budził we mnie teraz ten rodzaj szacunku, jaki się ma mimo woli dla rozkładającego się trupa. Ale podjąłem się zadania i trzeba było doprowadzić je do końca. Zadawałem mu dalsze pytania, pragnąc przyspieszyć proces torturowania prawdy, wolności, rozumu i wszystkich szlachetnych idei, w które wierzę.

— Jaki jest pana stosunek do socjalistów?

— To oni właśnie są sługami szatana! — zawołał uderzając się dłonią po kolanie. — Socjaliści — to piasek w machinie życia, który przenika wszędzie i rozstraja prawidłowe funkcjonowanie mechanizmu. Przy dobrym rządzie nie powinno być socjalistów. A w Ameryce pojawiają się. To znaczy, że ludzie w Waszyngtonie nie dość jasno pojmują swoje zadania. Powinni odbierać socjalistom prawa obywatelskie. To już by coś było. Twierdzę, że rząd powinien stać bliżej życia. I dlatego wszystkich jego członków powinno się dobierać spośród milionerów. Tak jest!

— Pan jest bardzo konsekwentny! — zauważyłem.

— O, tak! — kiwnął potwierdzająco głową. Nie było już teraz w jego twarzy nic dziecinnego, a na policzkach ukazały się głębokie bruzdy.

Chciałem jeszcze zapytać go o sztukę.

— Jaki jest pana stosunek... — zacząłem, ale on podniósł palec do góry i sam przemówił:

— Socjalista ma w głowie ateizm, a w brzuchu — anarchizm. Szatan obdarzył jego duszę skrzydłami szaleństwa i złości... Dla walki z socjalistą trzeba koniecznie więcej religii i żołnierzy. Religii — przeciw ateizmowi, żołnierzy — z powodu anarchii. Na początek trzeba do głowy socjalisty wsypać ołowiu przykazań kościelnych. Jeżeli to go nie wyleczy — niech żołnierze wsypią mu ołowiu do brzucha!...

Z przekonaniem pokiwał głową i powiedział stanowczo:

— Wielka jest moc szatana!

— O tak! — zgodziłem się skwapliwie.

Po raz pierwszy oglądałem potęgę wpływu Żółtego Diabła — Złota — w tak jaskrawej postaci. Chude, przeżarte przez podagrę i reumatyzm kości staruszka, jego słabe i wycieńczone ciało w worku starej skóry, całą tę niewielką kupkę zgrzybiałych gnatów ożywiała obecnie zimna i twarda wola Żółtego Ojca kłamstwa i deprawacji duchowej. Oczy staruszka błyszczały jak dwie nowiutkie monety i cały stał się bardziej twardy i oschły. Teraz jeszcze bardziej przypominał sługę, ale wiedziałem już, kto jest jego panem.

— Co pan myśli o sztuce? — zapytałem.

Spojrzał na mnie, przesunął dłonią po twarzy i starł z niej twardy wyraz złości. W jego twarzy znowu zjawiło się coś dziecięcego.

— Co pan powiedział? — wyrzekł.

— Co pan myśli o sztuce?

— O! — odezwał się spokojnie. — Ja o niej nie myślę, ja ją po prostu kupuję...

— Wiem o tym. Ale może ma pan własne poglądy i wymagania w stosunku do sztuki?

— A! Rzecz jasna, że mam wymagania... Sztuka ma być zabawna — ot czego wymagam. Trzeba, żebym się trochę pośmiał. W moich interesach jest mało śmiesznego. Czasami trzeba wstrzyknąć do mózgu coś uśmierzającego... a czasami pobudzającego energię ciała. Kiedy sztuka namalowana jest na suficie, czy na ścianie — powinna pobudzać apetyt... Reklamy należy malować najlepszymi, jaskrawymi farbami. Trzeba, żeby reklama chwyciła pana za nos z daleka, już na odległość mili, i od razu zaprowadziła, gdzie należy. Wtedy wrócą się pieniądze. Figury, czy wazy zawsze będą lepsze z brązu, niż z marmuru, czy z porcelany: służba nie uszkodzi tak łatwo brązu jak porcelany. Bardzo dobre są walki kogutów i polowanie na szczury. Widziałem to w Londynie... bardzo dobre! Boks także jest dobry, tylko nie należy dopuszczać do zabójstwa... Muzyka powinna być patriotyczna. Marsz — zawsze będzie dobry, ale najlepszy jest marsz amerykański. Ameryka to najlepszy kraj na świecie, dlatego muzyka amerykańska jest najlepsza ze wszystkich. Dobra muzyka jest zawsze tam, gdzie są dobrzy ludzie. Amerykanie to najlepsi ludzie na ziemi. Mają najwięcej pieniędzy. Nikt nie ma tyle pieniędzy co my. Dlatego do nas niedługo przyjedzie cały świat...

Słuchałem zarozumiałego bełkotu tego chorego dziecka i z życzliwością myślałem o dzikusach Tasmanii. Podobno i oni są ludożercami, ale w każdym razie mają wyrobione poczucie estetyczne.

— Bywa pan w teatrze? — zapytałem starego niewolnika Żółtego Diabła chcąc przerwać jego przechwalanie się krajem, który splugawił swym życiem.

— Teatr? A, tak! Wiem, to także sztuka! — powiedział z przekonaniem.

— A co się panu podoba w teatrze?

— Lubię, kiedy jest dużo młodych, wydekoltowanych pań, a siedzi się wyżej od nich! — odparł po namyśle.

— Co pan najbardziej lubi w teatrze? — spytałem, już w rozpaczy.

— O! — wykrzyknął, otwierając usta na całą szerokość szczęk. — Naturalnie aktorki, jak wszyscy... Kiedy aktorki są ładne i młode to zawsze są dobre. Ale trudno zgadnąć, która naprawdę jest młoda. Wszystkie one tak świetnie udają. Ja rozumiem, że to ich zawód. Ale czasami myśli się — aha! pierwszorzędna dziewczynka! A potem okazuje się, że ma pięćdziesiąt lat i że miała co najmniej dwustu kochanków. A to już nieprzyjemne... Aktorki cyrkowe są lepsze niż teatralne. Prawie zawsze są młodsze i bardziej gibkie...

Był widocznie dobrym znawcą w tej dziedzinie. Nawet ja, niepoprawny grzesznik, przez całe życie tonący w występkach, wielu rzeczy dowiedziałem się po raz pierwszy od niego.

— A czy lubi pan wiersze? — spytałem.

— Wiersze? — powtórzył pytanie, przypatrując się swoim butom i marszcząc czoło. Namyślił się i, odrzucając głowę, ukazał mi wszystkie zęby. — Wiersze? A, tak! Bardzo lubię wiersze. Życie będzie bardzo wesołe, kiedy wszyscy zaczną drukować wierszowane reklamy.

— Kto jest pana ulubionym poetą? — pospieszyłem z zadaniem następnego pytania.

Staruszek spojrzał na mnie ze zdumieniem i zapytał powoli:

— Co pan powiedział?

Powtórzyłem pytanie.

— Hm... zabawny z pana człowiek! — powiedział, kręcąc z powątpiewaniem głową. — Za co mam lubić poetę? I w ogóle, dlaczego ma się go lubić?

— Przepraszam pana! — wyrzekłem, ocierając pot z czoła. — Chciałem się spytać jaka jest pana ulubiona książka? Wyłączając książeczkę czekową...

— A! To co innego! — zgodził się. — Lubię dwie książki: Biblię i Księgę Główną. Obydwie są dla mnie jednakowo natchnione. Już kiedy bierze się je do ręki, czuje się, że jest w nich moc, która daje wszystko co trzeba.

— On znęca się nade mną! — pomyślałem i uważnie przyjrzałem się jego twarzy. Ale nie. Oczy jego rozpraszały wszelką wątpliwość co do szczerości tego niemowlęcia. Siedział w fotelu jak wyschnięte jądro orzecha w łupinie i widać było, że wierzy w prawdziwość swoich słów.

— Tak! — ciągnął tamten przyglądając się swym paznokciom. — To bardzo dobre książki! Jedną napisali prorocy, druga jest moim własnym dziełem. W mojej księdze jest mało słów. W niej są cyfry. Mówią o tym, czego może dokonać człowiek, jeżeli zechce pracować uczciwie i wytrwale. Po mojej śmierci rząd powinien ogłosić moją księgę. Niech ludzie wiedzą jak należy postępować, by wznieść się tak wysoko.

I triumfalnym gestem zwycięzcy powiódł dokoła siebie.

Czułem, że czas już zakończyć rozmowę. Nie każda głowa potrafi zachować obojętność, gdy depcze się po niej nogami.

— Może powie pan coś o nauce? — zapytałem cichutko.

— Nauka? — wzniósł palec i oczy do góry i spojrzał na sufit. Następnie wydobył zegarek, sprawdził, która godzina, zamknął kopertę zegarka i, nawinąwszy sobie łańcuszek na palec, pokołysał zegarkiem w powietrzu. Po tym wszystkim westchnął i przemówił:

— Nauka... tak, wiem! To książki. Jeżeli w nich dobrze piszą o Ameryce, to książki są pożyteczne. Ale w książkach rzadko kiedy piszą prawdę. Ci... poeci, którzy układają książki, chyba mało zarabiają. W kraju, gdzie każdy jest zajęty interesami, nie ma kto czytać książek... Tak, poeci są źli, bo nie kupują ich książek. Rząd powinien dobrze płacić pisarzom książek. Człowiek syty jest zawsze dobry i wesoły. Jeżeli w ogóle potrzebne są książki o Ameryce, to trzeba nająć dobrych poetów i wtedy będą zrobione wszystkie książki, jakich Ameryka potrzebuje... To wszystko.

— Ujmuje pan naukę cokolwiek wąsko, — zauważyłem.

Opuścił powieki i zamyślił się. Potem znów otworzył oczy i ciągnął z przekonaniem:

— No tak, nauczyciele, filozofowie... to także nauki. Profesorowie, akuszerki, dentyści, — wiem, wiem. Adwokaci, doktorzy, inżynierowie. All right. To konieczne. Dobre nauki... nie powinny uczyć złych rzeczy... Ale, nauczyciel mojej córki powiedział mi pewnego razu, że istnieją nauki socjalne... Tego już nie rozumiem. Myślę, że to szkodliwe. Dobra nauka nie może być robiona przez socjalistów. Socjaliści w ogóle nie powinni robić nauki. Naukę, która jest pożyteczna, albo zabawna, robi Edison. No, tak. Fonograf, kinematograf, to pożyteczne. Ale dużo książek o naukach — to zbyteczne. Ludzie nie powinni czytać książek, które mogą budzić w umyśle różne... wątpliwości. Wszystko na ziemi dzieje się jak należy... i w ogóle co mają książki do interesów?

Podniosłem się.

— O! Już pan idzie? — zapytał.

— Tak! powiedziałem. — Może teraz, kiedy już wychodzę, powie mi pan wreszcie jaki to ma sens być milionerem?

Zamiast odpowiedzi znów dostał czkawki i zaczął podrygiwać na fotelu. Być może taki właśnie był jego sposób śmiania się.

— To nawyk! — zawołał, nabierając tchu.

— Co jest nawykiem? — zapytałem.

— Być milionerem... to nawyk!

Zastanowiłem się i zadałem mu ostatnie pytanie:

— Myśli pan, że włóczęgi, palacze opium i milionerzy to zjawiska jednego rodzaju?

Widocznie obraził się. Wytrzeszczył oczy, które zabarwiły się żółcią o zielonkawym odcieniu i odpowiedział sucho:

— Myślę, że jest pan źle wychowany.

— Do widzenia! — powiedziałem.

Odprowadził mnie uprzejmie do wyjścia i zatrzymał się na górnym stopniu schodów pilnie wpatrując się w czubki swoich butów. Przed domem znajdował się placyk, na którym rosła gęsta, równo przystrzyżona trawa. Szedłem po niej rozkoszując się myślą, że już więcej nie zobaczę tego człowieka.

— Hallo! — usłyszałem za sobą.

Odwróciłem się. Stał jak przedtem u wejścia i spoglądał na mnie.

— A czy u was w Europie są niepotrzebni królowie? — zapytał powoli.

— Zdaje mi się, że wszyscy oni są niepotrzebni! — odpowiedziałem.

Splunął na bok i zagadnął:

— Myślę o wynajęciu sobie dobrej pary królów, co?

— Po co to panu?

— Zabawne, wie pan. Kazałbym im boksować się, ot tutaj...

Wskazał na placyk przed domem i dodał tonem pytającym:

— Od pierwszej do wpół do drugiej, codziennie, co? Poświęcić po śniadaniu pół godzinki na sztukę, to przyjemnie i... zdrowo.

Mówił to poważnie i widać było, że dołoży wszelkich starań, by swe pragnienie urzeczywistnić.

— Dlaczego potrzebni są panu w tym celu królowie? — zainteresowałem się.

— Tego jeszcze nikt tutaj nie ma! — wyjaśnił krótko.

— Ale przecież królowie biją się tylko cudzymi rękami! — powiedziałem i poszedłem.

— Hallo! — zawołał za mną znowu.

Zatrzymałem się. Wciąż jeszcze stał na dawnym miejscu z rękoma w kieszeniach. Twarz jego miała jakiś jakby marzycielski wyraz.

— O co chodzi? — spytałem.

— Jak pan myśli, ile to mogłoby kosztować — dwóch królów do boksowania się codziennie po pół godziny przez trzy miesiące, ee?

**Przełożył Julian Stawiński**

**ILIA ERENBURG** — Przełożył JERZY POMIANOWSKI

# DO PRZYJACIÓŁ

**Gałąź szumem na dotknięcie ci odrzekła; —**
**Sen — naiwny, niby młodość i zielony.**
**Każde głupstwo jest pociechą dla człowieka:**
**liści szum, ulewa słońcem prześwietlona,**
**— gdy omyty, okropiony, zapłakany**
**w każdej kropli jasny świat zawisnął cały,**
**kiedy czujesz gęsty zapach cieplarniany**
**kwiatów, które nigdy dotąd nie pachniały...**

**Losy — jak wyłomy w murach, strome ścieżki**
**wyboiste, szubienicznych stryków więzi;**
**Nie, człowieka nie tak łatwo jest pocieszyć.**
**A ja jednak deszcz wyśpiewam i gałęzie!**
**Zwyciężymy. Z nami świata świeżość wszystka,**
**wszystkie pędy, latorośle kolorowe.**
**Nam na wyrost dano nieba lazur czysty,**
**jak ubranko marynarskie uczniakowi.**
**Z nami barwy, z nami dźwięki, z nami wonie,**
**ptasich gardeł z nami śpiew zadziwiający,**
**z nami dzieci, co bez trosk za piłką gonią**
**i rybaczek prostodusznych łzy gorące.**

**ANATOL CZIWILICHIN** — Przełożył IGOR SIKIRYCKI

# BUDOWNICZOWIE TURBIN

**(Fragment)**

**Turbiny ruszą znów. Zwyczajnie dźwięczą dzisiaj**
**Słowa, lecz z dźwięku ich głęboką treść wyłońmy.**

**Jeszcze nad krajem wkrąg tętniły echa wojny,**
**Wystrzałów gęsty dym nad Wołgą chmurną zwisał,**
**Jeszcze okowów swych i Newa nie zerwała,**
**I do fabrycznych hal bitewny łoskot wracał,**
**Kiedy dla przyszłych dni zaczęła się tu praca**
**Ludzi, co chcieli w niej osiągnąć doskonałość.**

**Jeszcze nie widział Dniepr przeprawy bohaterów,**
**Żołnierzy, co szli doń, do progów nowej ery —**
**Przez ogień i przez dym, okrytych sławą w bojach,**
**A już pędziła myśl przed zdarzeń bystry lot.**
**Według Stalina słów wykuwał twardy młot**
**Każdą najmniejszą część dla turbin Dnieprostroju.**

**...Noc. Miasto w mroku śpi. Grudniowy wiatr i mgła.**
**Na Polustrowskiej tam, gdzie rzeka jak ze szkła**
**Wśród konstruktorskich biur ucichłej w krąg fabryce**
**Owiany każdy plan marzeniem przyszłych dni.**
**Wpatrzony w rzędy cyfr konstruktor ściąga brwi.**
**Schylił się. Dobrze wie: zwycięstwo jest już bliskie.**
**Wrócą żołnierze. Przyjdzie czas roboty.**
**Maszyna mądra odda siły wszystkie,**
**Ile wydoła światła i ciepłoty.**

**ALEKSANDER PROKOFIEW** — Przełożył IGOR SIKIRYCKI

* * *

**Sady i lasy wojny nie zapomną,**
**Jak wojska z bitew wyszły w ranach,**
**Zwaloną sosnę kuli bieg przerąbał,**
**Rodzinę olch na drzazgi rozbił granat.**

**Obok z topoli pocisk zerwał korę.**
**Promieniu wiosny nie złoć się tu, zgaśnij!**
**Zagajnik brzezin sterczy częstokołem**
**Zwęglonym, czarnym, jakże strasznym.**

**A jednak spojrzyj: przyszła wiosna w okop,**
**Ta powojenna, nowa wiosna — wieczna.**
**Rozkwita wszystko, złocą się obłoki**
**I nikną szramy, ginie ślad kalectwa.**

**Wojna uleci, w mity się przetopi.**
**Tam gdzie zagłada biegła huraganem,**
**Tuż przed potomków naszych jasnym wzrokiem**
**Powstanie pokój niczym nie zachwiany!**
**1945 rok**

**MIKOŁAJ TICHONOW** — Przełożył LEOPOLD LEWIN

# HISZPANIE WYCOFALI SIĘ PRZEZ PIRENEJE

**Moje pióro już pisać nie może,**
**W atramencie są chyba zaklęcia.**
**A w dalekim, obcym, głuchym borze**
**O żołnierzach wystukiwał dzięcioł.**

**Tylko widzę kobiety w szeregu**
**Pośród skał spadających urwiście,**
**Tylko dzieci leżące na śniegu,**
**Tylko gajów opalone liście.**

**O pożarach i studniach zatrutych,**
**I o gajach przesiąkniętych prochem,**
**I o ludziach za kolczastym drutem**
**Błagających wody cichym szlochem —**
**Co byś o tej powiedział udręce,**
**To nie tak i nie to i za mało —**
**Wszystko dziecka powiedziały ręce,**
**Sterczące spod śniegu na skałach.**

**MIKOŁAJ GRIBACZOW** — Przełożył LEOPOLD LEWIN

* * *

**Od rosy wilgotnieją łozy**
**i tłusto pobłyskuje trawa,**
**naładowane skrzypią wozy,**
**idą ostatni raz maszyny**
**z pól.**
**Reflektorem już latarnia**
**oblicza przęsła, magazyny —**
**zmierzcha. Ucichła praca szumna,**
**i tylko, żniwom duszą wierna,**
**żuje słomiane źdźbła młocarnia**
**i rozsypane gwiezdnie ziarna**
**w worki**
**zsypuje koło gumna.**
**1948.**

ALEKSANDER ROWIŃSKI

# FILM ODZNACZONY NAGRODĄ POKOJU

Sztuka radziecka w sposób najbardziej wymowny i zarazem najdoskonalszy realizuje od lat swój naczelny postulat — postulat służenia człowiekowi w jego walce o lepsze jutro, o utrwalenie pokoju, który uważa za niezbędny warunek budowy nowego, sprawiedliwego ustroju społecznego.

Wraz z całą sztuką radziecką również kinematografia bierze czynny udział w tej walce. Odznaczając się niezwykłym bogactwem inwencji twórczej, różnorodnością gatunków i dążeniem do udoskonalenia form wyrazu — coraz skuteczniej wspomaga tę walkę. W wyniku tego rozwoju i poszukiwań powstał w Związku Radzieckim zupełnie nowy gatunek filmu — film fabularno-publicystyczny.

Po „Sądzie honoru" i „Spotkaniu nad Łabą", wyświetlany obecnie na ekranach kin polskich film radziecki „Spisek bankrutów" należy zaliczyć do najwybitniejszych osiągnięć tego genre'u. Wykazuje on dobitnie jak szerokie możliwości stoją przed sztuka filmową, broniącą ludzkość przed knowaniami podżegaczy wojennych.

„Spisek bankrutów", uwieńczony Nagrodą Pokoju na V Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Karlovych Varach, ukazuje w syntetycznym skrócie jeden z ważnych frontów tej walki.

Wypieranie kapitalizmu i ostateczne zwycięstwo mas pracujących w krajach demokracji ludowej nie nastąpiło bez ostrej walki klasowej. Dziś, gdy w państwach tych masy pracujące mocno uchwyciły władzę, gdy rozgromiły resztki reakcji — dobrze jest przypomnieć pewne fragmenty tej walki, gdyż stała czujność proletariatu jest jednym z nieodzownych elementów szybkiego osiągnięcia celu — socjalizmu.





„Spisek bankrutów" ukazuje, jak pod wodzą posła Stanów Zjednoczonych reakcja przygotowuje zamach stanu w „pewnym kraju" demokracji ludowej. Wydarzenia przedstawione tu mają tak typowy charakter dla wszystkich państw demokracji ludowej, że mógłbym z całym powodzeniem rozgrywać się zarówno w Czechosłowacji, jak na Węgrzech, w Bułgarii i Rumunii czy Polsce.

Proces kardynała Mindszenty'ego, procesy Rajka i Kostowa oraz inne procesy agentur imperialistycznych w krajach demokracji ludowej ujawniły metody działania tych agentur, pozostających na usługach anglo-amerykańskich monopoli. Procesy te wykazały, że reakcja w nienawiści do mas ludowych i do nowej władzy ludu nie rezygnuje z żadnej broni w walce o odzyskanie utraconych — już na zawsze — dotychczasowych terenów eksploatacji, jakimi były do niedawna dla nich kraje, które dziś budują podstawy socjalizmu.

„Spisek bankrutów" z całą precyzją i mistrzostwem odsłania ohydne metody i zbrodnicze sprężyny sprzysiężenia tych prawdziwych bankrutów. Zanim przystąpią oni do pospolitego zamachu stanu, próbują „łagodniejszymi" środkami podważyć ustrój i władzę demokracji ludowej, organizują sabotaże, namawiają kułaków do ukrywania zboża itd.

Bankruci ginącego ustroju przedstawieni zostali w filmie w sposób prosty i przekonywujący. Oderwani od szerokich mas narodu, stanowią grupkę polityków-przywódców reakcyjnych stronnictw, którzy wysługują się bankierom i obszarnikom. Ci wrogowie ludu, to zwolennicy „demokracji" dla bogaczy, żądni władzy w celu bezgranicznego wyzyskiwania szerokich mas pracujących. Film ukazuje całą galerię nikczemnych „działaczy" politycznych, od przywódców: nacjonalistów — faszystki Padera i katolików — Hugo Wastisa aż do przywódcy prawicowych socjal-demokratów — Joachima Pino Wszyscy oni drapują się w togi patriotów i obrońców interesów ojczyzny. W rzeczywistości okazują się pospolitymi mordercami i zdrajcami ojczyzny. Pino dla uzyskania fotela prezydenckiego gotów jest narzucić krajowi plan Marshalla, choć zdaje sobie sprawę z jego szkodliwości. Padera, typowa prowokatorka, nasyła zbirów na swą — jak mówi — przyjaciółkę, komunistkę — Hannę Lichta, wicepremiera rządu koalicyjnego. Cała ta zgraja pozostaje na usługach posła USA — Mac Hilla. On to wydaje im rozkazy, przyrzeka wysokie stanowiska w przyszłym „rządzie" zdrajców. M Sztrauch we właściwy sposób ujął postać „dyplomaty" amerykańskiego, choć może miejscami ją przejaskrawił w geście.

Szczególnie sugestywnie ukazana jest sylwetka typowego przywódcy prawicy socjal-demokratycznej — Pino — zdrajcy proletariatu, szermującego frazesami sprawiedliwości i wolności. I. Sudakow w roli Pino uwypuklił znakomicie wszystkie charakterystyczne cechy tego rodzaju zdrajców klasy robotniczej. Od obłudnych deklaracji aż do płaszczenia się przed amerykańskim dyplomatą i skomlenia po nieudanym puczu o miejsce w amerykańskim samolocie. Na poły satyryczne podejście do roli dało dobry rezultat.

Olbrzymia większość szeregowych członków partii socjal-demokratycznej nie zgadza się z polityką przywódców-zdrajców. W najbliższym otoczeniu Pino — jego syn (W. Drużnikow) w decydującym momencie zdaje sobie sprawę z sytuacji i staje po stronie rewolucji.

Interpretacja S. Pilawskiej postaci przywódcy nacjonalistów, Krystyny Padera, odznacza się rozmaitością i bogactwem elementów aktorskich. Również W. Maruta oddał sugestywnie sylwetkę przywódcy katolików, Wastisa.

Specjalną rolę w tym gronie wrogów ludu i zdrajców ojczyzny odgrywa kardynał Birncz, w którym łatwo rozpoznać kardynała Mindszenty. On to jest jedną z głównych sprężyn sprzysiężenia antyludowego. A. Wiertyński, który gra rolę kardynała ze spokojem i umiarem — z powodzeniem odtworzył na ekranie tę trudną dla artysty postać.

Tym bankrutom przeciwstawieni są prawdziwi patrioci i bojownicy o sprawę ludu. Na ich czele stoi wspaniała, znowu jakże typowa dla krajów demokracji ludowej, postać działaczki komunistycznej — Hanny Lichta. Wierność rewolucji, zapał i nieugiętość w walce z wrogiem, zrodzone z pewności zwycięstwa — to cechy tej niezwykłej, a tak zarazem bliskiej nam postaci. L. Skopina prostotą gry i oszczędnością środków aktorskich stworzyła postać żywą i prawdziwą. Wzbogaciła ją szczerym uczuciem.

Jej najbliższym współpracownikiem jest redaktor gazety partyjnej, Max Wenta. P. Kadocznikow gra Wentę ze znaną nam z poprzednich filmów dynamiką i żarliwością. Może w niektórych scenach, jak np. w czasie dramatycznej debaty parlamentarnej nad projektem ustawy, usiłującej narzucić krajowi plan Marshalla — gra jego jest nieco przeszarżowana.

Interesującą postacią jest Kosta Warra, reprezentant biednego chłopstwa. B. Sitko opracował rolę w sposób przekonywujący i prawdziwy. Odtworzył w Kosta Warze biednego chłopa o nieugiętej woli walki z obszarnikami, prawdziwego patriotę. Jakże przypomina on nam wielu odpowiedzialnych kierowników państw demokracji ludowej, którzy wyszli z mas ludowych.

Zasługą reżysera (Michał Kałatozow) jest wykorzystanie prawie wszystkich możliwości, jakimi dysponuje kinematografia. Film — w porównaniu ze sztuką teatralną — ukazał wypadki na szerszym tle. Kamera operatora dotarła i do prywatnych mieszkań bohaterów, ukazała ich na posiedzeniach partii, w parlamencie, wśród ludu, zajrzała do gabinetów „dyplomatów" i dostojników kościoła.

Szybkie tempo, realizm scen i postaci, prawdziwość konfliktów — ukazywanych w realistycznej fotografii — wszystko to razem stwarza zespół poważnych walorów, które decydują o wysokiej wartości filmu.

Szczególny jednak podziw wzbudzają piękne kolory. Malownicze krajobrazy, wspaniałe wnętrza, najdrobniejsze elementy dekoracji odtworzone zostały w doskonałych ,naturalnych barwach Techniczne wykonanie barwnej strony filmu— wzorowe. Publiczność oczekuje jeszcze jedna niespodzianka. Film został bardzo starannie zdubbingowany w Studio Dubbingowym Wytwórni Filmów Fabularnych „Filmu Polskiego". Ma to olbrzymie znaczenie ze względu na wyjątkową rolę dialogu w tym filmie.

Należy tu podkreślić nie tylko staranne „podłożenie" tekstu polskiego, ale i jego doskonałe głosowo wykonanie przez czołowych artystów scen polskich. W polskiej wersji językowej m. in. rolę Hanny Lichta znakomicie wypowiada Irena Horecka; Feliks Żukowski — rolę Kosta Warry, Ludwik Tatarski — kardynała Birncza, Seweryn Butrym — Max Hilla i Jadwiga Andrzejewska — Magdy.

„Spisek bankrutów" jest filmową adaptacją sztuki Mikołaja Wirty, dokonaną przez samego autora. Różni się od dramatu pominięciem szczegółów, obciążających fabułę, natomiast skupia uwagę na wszystkich momentach charakterystycznych dla krajów demokracji ludowej. Wprowadzono do scenariusza nowe sceny, które pełniej charakteryzują opór kułaków, satyrycznie przedstawiono amerykański „pociąg pokoju", który wiezie narodowi „pewnego kraju" podarek Mac Hilla — skradzione poprzedniego dnia zboże a w nim ukrytą broń dla spiskowców.

Film także wyraźniej podkreśla rolę partii, jej łączność z masami. Mocniej zarysowana jest postać przewodniczącego KC Komunistycznej Partii (W. Aksienow).

Film w sposób zdecydowany wskazuje, gdzie jest fałsz, a gdzie prawda i słuszność. Kieruje na właściwą drogę, ułatwia rozpoznawanie wroga klasowego, demaskuje go. Demaskując wrogów demokracji ludowej, wykazuje dobitnie, że ich patronem jest imperializm amerykański, który zagraża pokojowi i wolności człowieka.

**Aleksander Rowiński**

ANDRZEJ MAKUTYNOWICZ

## PIEŚŃ CHIŃSKIEGO KULISA O PIĘKNIE ŻÓŁTYCH CHIN

**Gdy chcesz zobaczyć**
**dżdżownicę**
**nie wchodzisz na drzewo.**
**Gdy chcesz zobaczyć**
**gwiazdy**
**nie chowasz się gdzie jasno.**
**Gdy chcesz zobaczyć**
**wschód słońca**
**idziesz na świętej góry śnieg.**
**A jeśli chcesz rozmawiać**
**z prawdziwym człowiekiem**
**przyjdź ciemiężco do mnie.**
**Gdy chcesz oglądać cuda**
**zaprzedanej Ojczyzny,**
**kupujesz nieznane mi książki,**
**nie wierzysz opisom kulisów**
**z wyplutymi płucami,**
**ich słowom nieznanym i prostym.**

## O LITERATURZE NOWYCH CHIN

We wrześniowym numerze miesięcznika „Zwiezda" opublikowane zostały materiały z pierwszego Ogólnochińskiego zjazdu działaczy literatury i sztuki *). Zjazd odbył się w wyzwolonym Pekinie dnia 30 czerwca 1949 r. przy udziale 644 delegatów, reprezentujących literaturę i sztukę wszystkich dzielnic kraju, podsumował wynik twórczej pracy za ostatnie trzydzieści lat i postawił przed chińską literaturą i sztuką zadania na przyszłość.

Ciekawe dane o nowych tematach i nowej treści utworów literackich przytoczył w swoim referacie znany pisarz Czżon Jan. Z okazji zjazdu wydawnictwo „Nowe Chiny" wydało „Bibliotekę literatury ludowej", zawierającą powieści, dramaty, nowele, wiersze i inne utwory literackie. W liczbie 177 drukowanych przez wydawnictwo dzieł znajduje się: 101 utworów o wojnie z agresorami japońskimi, o narodowej wojnie wyzwoleńczej ludu chińskiego i o działalności ludowej armii partyzanckiej; 41 utworów o walkach o reformę rolną; 16 utworów o drogach rozwoju przemysłu i rolnictwa; 7 utworów na tematy historyczne i 12 utworów o działalności kadr partyjnych.

Spośród najbardziej udanych utworów literackich wymienić należy: powieści o wyzwoleniu wsi i reformie rolnej Czżao Szu-li „Zmiany w Liczziaczżuanie", Din Lina „Słońce nad rzeką Sangań", Czżou Li-bo „Huragan"; utwory o robotnikach: powieść Cao Mina „Siła poruszająca", opowiadanie Li Na „Węgiel", dramat Lu Meja i poemat Czeń Mio „Pieśń o czerwonym sztandarze"; o żołnierzach i wojnie: powieść Ma Fena i Si Żuna „Bohaterzy Lujlanu", dramat „Bohaterka Lu Chulań" i opowiadania Lu Baj-juja „Trzech bohaterów niepokonanych".

Autorzy wymienionych utworów odtwarzają swych bohaterów w procesie ich ideowo - politycznego rozwoju, wykazując, jak rewolucja i praca komunistów przemienia ciemnych ludzi w świadomych budowniczych szczęśliwego życia.

Nowa literatura chińska, wcielając w życie zadania, wytyczone przez Ogólnochiński zjazd działaczy literatury i sztuki, aktywnie walczy o pokój i bierze czynny udział w krzewieniu nowej kultury chińskiej, w budowie nowych, demokratycznych Chin.

**W. W.**

*) Nowy etap. („Zwiezda", wrzesień 1950).

## Z WYSTAWY „MŁODZIEŻ WALCZY O POKÓJ"




Projekty plakatów



Wojska radzieckie na kwaterze w 1946 r. *Jerzy Potrzebowski*



Majakowski recytuje *Jerzy Młynarski*

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

# Częstochowa wystawia nową sztukę polską

Kiedy rozlega się gong, a potem rozsunięta kurtyna ukazuje wnętrze pokoju lekarskiego na klinice — recenzentowi przypominają się różni „Ludzie w bieli", „Tajemnice lekarskie" i inne efekciarskie bomby teatralne. Egzotyka życia szpitalnego, niepokojąca magia choroby — wszystko to było niejednokrotnie eksploatowane w kosmopolitycznym repertuarze naszych przedwojennych scen. Dramaturgia polska ma też parę pozycji z życia lekarzy: od „Asystenta" Zapolskiej i „Lancetu" Jastrzębiec-Zalewskiego, po „Kobietę we mgle" Rusinka. Znakomita większość tych sztuk propagowała mętną ideę abstrakcyjnego „kapłaństwa" doktora medycyny, „inności" jego stanowiska w społeczeństwie. Ulubionym założeniem akcji był nierozwiązywalny jakoby konflikt między pracą zawodową a tzw. szczęściem osobistym.

Istnieje jednak inny jeszcze gatunek sztuk lekarskich. Na przestrzeni ostatniego roku widzieliśmy np. „Płatona Kreczeta" Kornijczuka i „Obcy cień" Simonowa. Autorzy radzieccy starają się pokazać właśnie realną rolę lekarza w konfliktach ludzkich, zagadnienia pracy naukowej rozwiązują na tle problematyki ogólnospołecznej.

Bliskie temu założenia posiada nowa sztuka polska „Próba sił" debiutującego dramatopisarza Jerzego Lutowskiego, niepozbawiona zresztą specyficznych efektów „szpitalnych".

Klinika uniwersytecka, galeria lekarzy, seria codziennych kolejnych przypadków medycznych. Na tle tej realistycznej scenerii autor usiłuje pokazać, że walka klasowa toczy się wszędzie, nawet w gabinecie doktora. W zakończeniu sztuki wskazuje na to wyraźnie jeden z bohaterów, mówiąc o próbie sił, rozgrywającej się u nas obecnie na każdym terenie. Obóz postępu zdobywa ustawiczną przewagę nad przedstawicielami wczorajszego świata — takie jest optymistyczne rozwiązanie akcji.

Centralna figura sztuki to dyrektor szpitala, znakomity internista Mokrzycki. Profesor reprezentuje typowy w wielu kołach pogląd: „Na klinice nie ma złych, ani dobrych, nie ma ludzi takich czy innych przekonań — są tylko lekarze!" Tak pojęty izolacjonizm lekarza, chociaż odziany w złudne szaty humanitaryzmu — jest jedynie odmianą „wieży z kości słoniowej". Jeszcze jedna zabawna mistyfikacja burżuazji w okresie jej schyłku. Trudno przekonać kogokolwiek, że praktykujący lekarz może odgrodzić się od życia; każdy przypadek podsuwa mu je pod nos, jest właśnie walką o życie. Wymyślono wobec tego mit apolityczności zawodu lekarskiego, mający na celu ograniczenie jego odpowiedzialności społecznej. Lutowski trafnie demaskuje tę legendę, operując dosadnymi przykładami: pobłażliwej życzliwości dla bumelantów, faworyzowania prywatnych pacjentów, kollaboracji z rasizmem hitlerowskim w latach wojny.

Profesor Mokrzycki jest jeszcze jedną kreacją „dobrego człowieka", zbałamuconego liberała, który w trakcie akcji przeżywa bankructwo swoich złudzeń, staje oko w oko z twardą koniecznością wyboru przyjaciół i wrogów. Bohater „Próby sił" jest uczciwym człowiekiem, to też możemy być spokojni o to w czyim znajdzie się obozie.

Autor sztuki, nie darmo związany ze środowiskiem lekarskim, nie poskąpił innej jeszcze problematyki tego kręgu. A więc sprawa tradycjonalizmu lekarskiego, oporu wobec nowych metod terapii. I to zresztą łączy się z poprzednim: „apolityczny" dr Grodecki odnosi się niechętnie do świeżo odkrytej metody leczenia snem, nie znając jej bliżej; po prostu dlatego, że przyszła ona ze Związku Radzieckiego. W sztuce ta kwestia łączy się ze stosunkiem do młodych kadr lekarskich, odsuwanych przez rutynistów od ciekawszych przypadków.

Drugi kompleks zagadnień to sprawy produkcji, związane z fabryką odlewów. Historia leczenia snem starego racjonalizatora splata się z dziejami jego wynalazku, co pozwala na pokazanie: z jednej strony — dojrzewania ideowego robotników w procesie produkcyjnym; a z drugiej — niekapitulującej penetracji wroga klasowego. Tutaj również udało się Lutowskiemu wyraziście uwypuklić powiązanie odrębnych na pozór spraw i środowisk, ich wzajemnej zależności i przenikania się w całokształcie walki społecznej.

Jednak i to jeszcze nie wyczerpuje problematyki „Próby sił". Autor stawia zagadnienie roli Partii na terenie kliniki, etyki człowieka partyjnego, jego autorytetu wobec bezpartyjnych. Niejako na marginesie utworu toczy się sprawa odbudowy powojennych ruin w psychice ludzkiej; — to postać adwokata Meiselsa, dźwigającego ciężki bagaż prześladowań rasistowskich. Oprócz tego sztuka zawiera akcenty satyry na obyczajowość mieszczańską (żona profesora — Olimpia, jego córka — Misia, złoty młodzieniec — Tolo).

Rozwiązanie sceniczne wspomnianych ostatnio kwestii nie zadawala w pełni; duże walory sztuki pozwalają na stosowanie ostrzejszych kryteriów. Rzecz łączy się tutaj z techniką pisarską Lutowskiego, konkretnie ze sposobem stawiania postaci. W dosyć wymyślnej, misternie powiązanej fabule spotykamy figury jakby z reportażu, jakby po dziennikarsku zarysowane. Nie widać w nich dociekliwości autora, pasji wobec stworzonego przez siebie człowieka, chęci wydobycia pełni ludzkiej z postaci. Lutowski chętnie używa barw: białej i czarnej; bohaterowie utworu sprawiają wrażenie pionków potrzebnych jedynie do przeprowadzenia wymyślonej bez nich rozgrywki. Niedosyt artystyczny mści się oczywiście natychmiast na stronie ideowej. Podstawową organizację partyjną reprezentuje pozbawiony krwi i mięsa chirurg Konwacki. Postać blada i nieinteresująca; jest po prostu sekretarzem i kropka. Wiemy o nim nader mało, nie tylko jako o człowieku prywatnym, ale i działaczu. Na przykład: dlaczego Konwacki jest członkiem Partii, a bohater pozytywny dr Czarnota — nim nie jest? Drugi partyjniak — Poręba — zdawkowo, za kulisami przeżywa swoją samokrytykę. Autor początkowo zbyt zamaszyście kompromituje go, a potem pochopnie wkłada mu w usta zasadniczą tyradę, osądzającą błędy profesora. Mokrzycki w ogóle nie ma szczęścia do swoich nauczycieli - moralistów. Najbardziej po pisarsku ujęta i najciekawsza aktorsko postać: Meisels — nie tłumaczy się jasno. Jedynie aluzyjnie zasugerowano nam czym stary adwokat „truje" ludzi i dlaczego jednak profesorowi „dobrze jest z nim rozmawiać". Być może że któryś z wykonawców znajdzie klucz do tej roli — w przedstawieniu częstochowskim (o którym będzie mowa za chwilę), nie została ona do końca rozwiązana.

Jednym z uproszczeń debiutującego autora jest opieranie postaci na powtarzających się gierkach sytuacyjnych lub słownych. A więc radiomanka, siostra Jadwiga, przy wszystkich swoich wejściach na scenę włącza wbrew zakazowi głośnik; roztargniony dr Nowak za każdym razem zapomina, że ma fonendoskop na szyi, mieszczańska żona profesora ustawicznie narzeka na służbę domową.

Parę figur wymknęło się autorowi spod szkiełka analizy społecznej. Nie wiemy na przykład kogo w tym sensie ma reprezentować dr Aniela Kruczkiewicz. Jeśli jest to typ „apolitycznej" lekarki, to dlaczego autor nie wyciąga z tego konsekwencji w stosunku do postaci? Podobnie nie wiemy jak traktować córkę profesora — Misię. Wydaje się, że posiada ona sympatię autora, podczas gdy widz mało ma powodów do obdarzania jej zaufaniem. Wreszcie Czarnota, figurujący na czele spisu osób, młody lekarz prowadzący leczenie nową metodą radziecką. Jak na pozytywnego bohatera jest postacią za mało określoną: nie wiemy z jakiego środowiska pochodzi, skąd się biorą jego postępowe przekonania. Nie po raz pierwszy w nowej sztuce polskiej obserwujemy, jak brak pogłębionej socjalnej analizy postaci powoduje jej anemiczność literacką.

„Próba sił" stoi jeszcze na pograniczu dwóch teatrów: mieszczańskiego i rewolucyjnego. Do tego ostatniego skłania ją postępowa i humanistyczna tendencja, czujny stosunek do przedstawionego środowiska lekarskiego. Do pierwszego — banalny schemat wątku miłosnego (Czarnota w sprawach uczuciowych zachowuje się jak typowy mieszczuch, tradycyjny stosunek do postaci kobiecych); dalej związana z teatrem burżuazyjnym salonowość akcji. Jednak wprowadzenie nowej problematyki łamie konstrukcję formalną utworu, wdziera się do aktu umiejscowionego w salonie; dosłownie burzy jego ściany, gdy autor na drugim planie metodą filmową włącza do akcji migawki z fabryki, z zebrania partyjnego, z kliniki.

Po interesującym, wiele zapowiadającym debiucie Lutowskiego mamy prawo oczekiwać następnej jego sztuki w pełni dojrzałej ideowo i artystycznie. Młody dramaturg posiada zdolność ciekawego i przejrzystego prowadzenia akcji, żywego dialogu, zna język teatru. Epizodami scenicznymi, przebiegiem losów postaci umie wyrazić swoją myśl i tendencję nie uciekając się do rezonerstwa. Poszczególne sytuacje rozwijają potoczyście akcję, a równocześnie w sposób konsekwentny i nienarzucający się dopełniają charakterystyki bohaterów (np. telefon z Partii w sprawie chorego robotnika i reakcja zebranych — akt I-szy).

Prapremiera „Próby sił" odbyła się w Państwowym Teatrze w Częstochowie. Staranna reżyseria Mieczysława Mieczyńskiego, poszła po autorskiej linii wyraźnego punktowania rozwoju akcji, pewnej rezygnacji z pogłębienia scenicznego postaci ludzkich. Dosyć skomplikowana faktura teatralna drugiego aktu (trzy przerzuty na inny teren akcji) została przekonywująco rozwiązana, scenki: fabryczna i szpitalna były najbardziej sugestywnymi momentami przedstawienia. Część zasługi przypisać należy scenografowi Władysławowi Wagnerowi, któremu natomiast nie udał się obraz salonu; niezrównoważony kolorystycznie, pełen pretensjonalnych szczegółów (krata zamiast ściany, olbrzymia lampa na wygiętym stojaku). dekoracja pierwszego i trzeciego aktu (klinika) przyjemnie współgrała z optymistycznym charakterem tekstu, mimo pewne niesharmonizowanie naturalistycznych rekwizytów z syntetycznym kształtem architektonicznym.

Na plus reżysera zapiszmy jeszcze nader trafne dobranie zewnętrznych typów aktorów do charakterów postaci. Z zespołu wyróżnili się odtwórcy postaci robotniczych: Ferdynand Sarnowski (majster Jesionek) i Sławomir Misiurewicz (Klejonka). Pełną wdzięku i ciepła (acz postarzałą nieco) figurę dr Nowaka dał Tadeusz Olderowicz. Marian Łoziński słusznie położył nacisk na aktorskie rozwiązanie postaci profesora w jej wewnętrznych przemianach. Eugeniusz Lotar prosto zagrał dr Porębę, szczęśliwie łącząc w jedną całość różne bieguny roli. Romuald Bojanowski niepotrzebnie podbarwił gierkami farsowymi przemysłowca Kaliskiego, a Eugeniusz Dobrowolski na jednym tonie „szwarc-charakteru" przeprowadził figurę dr Grodeckiego. Odtwórczynie ról kobiecych salonową manierą gry podkreślały pewne mielizny sztuki.

Na koniec parę słów o teatrze w Częstochowie, prowadzonym przez Eugeniusza Poredę. Na przestrzeni roku wystawił on rekordową ilość dziewięciu prapremier, w tym pozycje tak ambitne jak „Zielona ulica" Surowa, „Tai-Yang budzi się" Wolfa, „Załoga" Skowrońskiego i Słotwińskiego. Należy podkreślić, że przygotowując „Próbę sił" teatr zrezygnował z jednej pozycji repertuarowej, aby wzmocnić aktorsko debiut polskiego pisarza.

Rzetelne przedstawienie sztuki Lutowskiego świadczy, że teatr Częstochowski stara się nie tylko o ciekawy repertuar, ale dąży również do podniesienia poziomu wykonania.

St. Marczak-Oborski

MARIA GABRIELA PLASKOTA

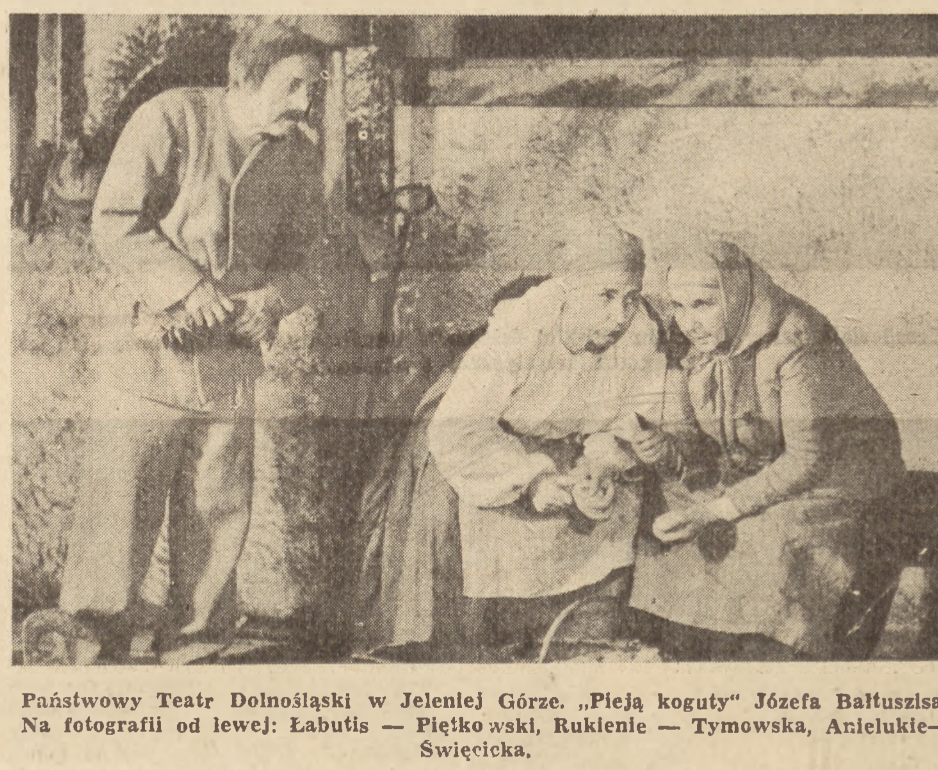
# ŻYCIE TEATRALNE W JELENIEJ GÓRZE

Państwowy Teatr w Jeleniej Górze, położony z dala od większych ośrodków kulturalnych, jest placówką niezwykle ważną, tak ze względu na swą wychowawczą, jak i artystyczną rolę. Pisano o tym już niejednokrotnie, jak również zwracano uwagę na słabą chłonność kulturalną tutejszej ludności.

Czy nastąpiła zmiana na lepsze i w jakim stopniu ujawnił się dobroczynny wpływ teatru na tutejsze środowisko, oto — zagadnienie, nad którym warto by się zastanowić.

Rozpatrzmy kolejno repertuar ubiegłego sezonu, poczynając od września 1949 r. aż do chwili obecnej. Otwiera go sztuka radzieckich pisarzy „Okno w lesie". Dalej idą: „Montaż Mickiewiczowski" w opracowaniu Brandstaettera, wznowiona „Maria Stuart", „Lubow Jarowaja", „Wieczór Trzech Króli", „Cement", „Korzenie sięgają głęboko", „Romans z Wodewilu", „Złoto w dolinie", „Niemcy", „Klub Kawalerów", „Przełom", „Zielony Gil", „Przyjaciele", „Wiosna w Norwegii", „Szczygli Zaułek", „Oberżystka" i „Pieją koguty".

Do końca roku mają pójść jeszcze trzy sztuki, z których odbywają się właśnie próby, a mianowicie: „Wczoraj i przedwczoraj" Maliszewskiego, „Sprawa Pawła Eszteraga" Gergely'ego oraz „Drewniaczek" opracowanie sceniczne Swieżawskiego według powieści Collodiego „Pinokio". Ta ostatnia pozycja szczególnie zasługuje na uwagę, przedstawienie to bowiem będzie interesującym eksperymentem: pod fachową opieką reżysera Ryszarda Wasilewskiego w sztuce wezmą udział dzieci i amatorzy z teatrów świetlicowych.



**Państwowy Teatr Dolnośląski w Jeleniej Górze. „Pieją koguty" Józefa Bałtuszisa. Na fotografii od lewej: Łabutis — Piętkowski, Rukienie — Tymowska, Anielukie — Święcicka.**

Jak nie trudno się zorientować, repertuar nie nosi już cech przypadkowości, jak to miało miejsce w latach poprzednich.

Na korzyść teatru przemawia i to, że zwiększyła się znacznie liczba przedstawień, wzrosła frekwencja widowni, a zmniejszyła się ilość sztuk wystawianych, co wskazywałoby na to, że teatr wkroczył na właściwą drogę.

Ażeby uzmysłowić sobie obraz pracy, należy wyjaśnić, że teatr jeleniogórski prowadzi tryb życia na przemian, to osiadły, to koczowniczy, dając spektakle nie tylko w samym mieście, ale i w okolicy i dociera w swych wędrówkach do Legnicy i Zgorzelca. Jeśli idzie o warunki, w jakich przychodzi pracować zespołowi aktorskiemu na prowincji, to są one bardziej niż opłakane. Sale są często nieopalane, a garderoby tak ciasne i niewygodne, że aktorzy nieraz przeszkadzają sobie wzajemnie przy charakteryzacji. Zespół techniczny ze swej strony musi niejednokrotnie wykazywać niemałą inwencję i pomysłowość, aby zmontować dekoracje na maleńkiej scence w ten sposób, by przedstawienie nie tylko doszło do skutku, ale by i widzowie mogli otrzymać pełnię wrażeń. Oczywiście. nie zawsze na małej scenie da się ustawić masywne dekoracje i wtedy ten początkujący widz traci wiele, bo kotary muszą zastępować dekoracje, a publiczność skazana jest na dawanie folgi wyobraźni, by przedstawić sobie miejsce rozgrywanej akcji. Jest to zresztą jedna z większych bolączek każdego teatru objazdowego.

Problem ten należałoby rozwiązać w jakiś sposób, bo właśnie ta publiczność z prowincji jest świetnym odbiorcą i za każdym razem oczekuje z niecierpliwością przybycia teatru. A trzeba podkreślić, że publiczność ta do niedawna jeszcze nie oglądała aktorów z prawdziwego zdarzenia, niemniej już po kilku spektaklach potrafi ocenić grę aktorów, a powiedzenie, że „przyjechały komedianty" nie zawiera w sobie cech żadnej złośliwości, ot, jest takim zwykłym powiedzeniem dla wyrażenia radości, a pytanie „czy będą przedstawiać na wesoło, czy na smutno", świadczy tylko o zainteresowaniu, wybiegającym daleko naprzód, boć sam tytuł sztuki niewiele wyjaśnia.

Teatr w Jeleniej Górze w swych wędrówkach nie omija i takich placówek, jak Sanatorium Przeciwgruźlicze w Bu-

(Dokończenie na str. 11-ej)

JERZY PYTLAKOWSKI

# LISTY*)

*(Dokończenie)*

Teraz Michalina zamęczała Karola pytaniami. Gdy tylko znajdowała odpowiednią chwilę — a chwil takich było niewiele, gdyż Karol znów pracował zawodowo i politycznie oraz uczył się — głosem małej dziewczynki prosiła go o wyjaśnienie tych wszystkich spraw, których nie rozumiała. Karol traktował matkę z czułością większą niż kiedykolwiek. Czas spędzony w więzieniu nie postarzył go, natomiast w niej spowodował znaczne zmiany. Michalina była już stara. Wyschła, zeszczupłała, jej orli nos jeszcze bardziej się zaostrzył. Wszystkie włosy miała siwe. Chodziła szybko, przesadnie wyprostowana, na sztywnych nogach. Jej kościste ręce, pełne żył i żyłek, przypominały zasuszone liście. Głos nabrał chropowatych, dawniej nieobecnych brzmień.

Ciekawości matki, którą znamionowały wspomniane wyżej stawiane synowi pytania, Karol nie kładł jednak na karb jej starzenia się. Przeciwnie, uważał ją za oznakę dojrzewania świadomości, co — tak sobie mówił — wiedział, że wcześniej czy później nastąpi. Michalina już nie narzekała po kobiecemu i gderliwie. Nawet jej powoływanie się i wspominanie Filipa posiadało odmienny charakter. Tego Karol nie potrafił dostrzec, ta zmiana zaszła w Michalinie, może najistotniejszy objaw głębszych przeobrażeń, uszła jego młodzieńczej uwadze.

— Co to się dzieje — pytała Michalina Karola — że wojna skończyła się, a jakby się nie skończyła. Ci, którzy za Hitlera byli u góry, posiadają nadal władzę. Znów robotnicy muszą strajkować, znów policja strzela do manifestantów, znów masowo aresztuje się ludzi, tylko za to, że bronią swych interesów. Jak to jest?

— Hitleryzm został pokonany, jako jedna z form faszyzmu — odpowiadał Karol — ale faszyzm wciąż zagraża światu. Ostatecznie przed wojną działo się u nas podobnie...

Z tym stwierdzeniem jednak Michalina nie mogła się zgodzić. Prawda, przed wojną również były strajki, manifestacje. Ale nie rządzili ludzie o rękach skrwawionych francuską krwią. Mollecq, de Mouilly — przecież to zdrajcy...

— Przed wojną Mollecq i de Mouilly nie mieli sposobności pokazania, kim są. Wojna odsłoniła ich, obnażyła całkowicie. Oczywiście, walka się zacstrza. Klasa robotnicza jest coraz silniejsza i burżuazja, chwytając się metod faszystowskich, musi coraz energiczniej bronić władzy, by utrzymać ją jeszcze choć przez pewien czas. Zakończenie tej walki dla obu stron jednak już dziś jest znane. Stare nie może zwyciężyć...

Michalina rozumiała, co Karol mówił. Jednak gdy wykraczał poza sprawy Chamillard, gdy używał bardziej ogólnych określeń, nie trafiało jej to do przekonania. Słowa używane przez syna, traciły dla niej ostrość, stawały się jakieś nie do uchwycenia, mogły znaczyć tak wiele — wiedziała o tym — ale ich sens nie przenikał do jej serca, nie wzbudzał żywszego krążenia krwi, wywołującego oburzenie, wiarę czy pewność. Nie umiała dostrzec, że przed wojną w gruncie rzeczy życie robotników w Chamillard mijało podobnie, przepełnione codzienną walką. W jej wspomnieniach złe zacierało się, pozostawało tylko dobre. Była wtedy młoda, Filip żył, no i przecież człowiek, żeby istnieć, musi nosić w sobie tę dobrą część, choćby nawet wyimaginowaną. A im bardziej teraźniejszość jest twarda, tym lepsze wspomnienia czy marzenia muszą stanowić dla niej odtrutkę. Teraźniejszość zaś była dla Michaliny rzeczywiście trudna. Nawet los nie obdarzył jej czasem, by nabrała oddechu, by przygotowała się na nadejście nowych niepowodzeń. Oto Karola zwolniono z więzienia. Nie minął jednak nawet rok, a padł nowy cios: Karol został powołany do wojska! Nie pomogło zaświadczenie z fabryki, wydane przez oddziałową kancelarię w tajemnicy przed dyrekcją, że Karol jest niezastąpionym fachowcem, nie pomogła jego konspiracyjna przeszłość ani fakt utrzymywania starej matki. Karol otrzymał rozkaz stawienia się w jednostce, gdzie miał być przeszkolony, razem z grupą młodych chłopców. Michalina znów biegała od urzędu do urzędu, wypełniała formularze, składała podania, tłumaczyła i prosiła. Robiła to wszystko, nie przez wzgląd na siebie, lecz na Karola. Karol trzymał się, nie dawał po sobie poznać, jak celnie trafiono go tym razem. Pocieszał matkę i towarzyszy, mówiąc:

— Czas ten szybko minie. Praca wśród żołnierzy jest obecnie niezwykle ważna. Pamiętajcie o tym...

Ale na dworcu, żegnany przez matkę i kolegów, jakby się załamał, był zachmurzony, ani jeden dowcip mu się nie udał. Czyżby przeczuwał, że żegna na zawsze Chamillard i to wszystko, do czego był przywiązany?

Michalina długo nosiła w sobie odgłos pociągu uwożącego syna. Dudnienie wagonów ciężarem nie do zniesienia kładło się na jej sercu w długie, pracowite dni i bezsenne męczące noce.

Zaczęła się w jej życiu era listów. Powróciła do swych robótek. W czasie pracy tak siedziała, by widzieć ulicę, którą jechał zwykle listonosz. Robiąc mechanicznie drutami, spoglądała na wybrukowaną płaskimi nierównymi kamieniami ulicę, na wąskie chodniki, na szpaler platanów i lip, na spadziste dachy, kryte czerwoną dachówką i szare mury niskich, ponurych domków, na sztachety i kwiaty ogródków. Obserwowała nikły ruch uliczny, uczestniczyła w nieczęstych powitaniach osób spotykających się w zasięgu jej wzroku. Odprowadzała małych chłopców i dziewczęta do szkoły i potem — do domu. Poznawała sąsiadki przedłużające w nieskończoność jałowe choć ożywione rozmówki, rozwoziła wraz z konnymi wózkami pieczywo, wino i piwo, a w czasie ulicznego bezruchu śledziła bieg myszkujących w ogródkach psów i kroki leniwych, opasłych kotów, szukających nie wiadomo czego.

Listonosze dwa razy dziennie rozwozili pocztę. Rano, wąsaty, tęgi Rajmund pedałował na swym rowerze, a po południu, chudy o przezroczystej skórze gruźlika, Franciszek. Obydwaj, po paru miesiącach rozłąki Michaliny z synem, przejeżdżając obok domku wdowy, gdy nie mieli dla niej listu, nie pytani wołali:

— Dzisiaj nic nie ma, pani Delles!

Rzecz prosta, dni, w których nic nie było, przewyższały liczebnie te, gdy jeden z listonoszy, już z daleka, wiedząc, że Michalina czeka w oknie, machał wesoło niebieską kopertą.

Karol pisał raz na dwa tygodnie lub jeszcze rzadziej. Nie miał o czym pisać. To, co by chciał donieść matce, ze względu na wojskową cenzurę musiał przemilczeć. Do towarzyszy pisał jeszcze mniej. Już go tam dobrze mieli na oku... Przecież całe to wojsko posiadało bardzo określony sens.

— Nie udało się im zamknąć Karola w więzieniu — tłumaczyli Michalinie towarzysze jej syna — więc uwięzili go w wojsku. Ale ci wszystkowiedzący władcy zapomnieli o jednym. Zapomnieli, że także w więzieniu, a tym więcej w wojsku, taki człowiek jak Karol dalej będzie prowadził walkę...

Przez dziesięć miesięcy Michalina korespondowała z synem. Żyła nadzieją, że po tym czasie Karol otrzyma urlop i odwiedzi matkę i Chamillard. Stało się jednak inaczej. Nadszedł list zewnętrznie nie odróżniający się niczym od innych. W takiej samej kopercie, identycznie zaadresowany i opłacony piętnastofrankowym znaczkiem. List ten wszakże sprawił, że Michalina, a także kilku najbliższych kolegów Karola, udali się w podróż do miasta, gdzie Karol odbywał swą służbę wojskową. Miasto to posiadało liczne piękne kościoły i pełne było ogrodów i kwietników, ale Michalina nie dostrzegała jego urody. Jej syn jechał na wojnę! Tym tylko żyła.

Viet-Nam — nazwa znana z dzienników. Gazety pisały. Żyli w nim ludzie. Mieszkali, pracowali. Będąc w Paryżu Michalina ocierała się o egzotycznych Murzynów, Malajczyków, Chińczyków. Podobni im zamieszkiwali z pewnością ów Viet-Nam. Który z nieznanych Vietnamczyków wyrządził coś złego jej, Karolowi, komukolwiek z Chamillard czy też któremuś z Francuzów? Pytała o to. Koledzy Karola odpowiadali jej:

— Brudna wojna. Posyła się Fracuzów, by walczyli o kapitały amerykańskie...

I wtedy, na wielkim, pełnym hałasu i dymów dworcu kolejowym, czekając na swego syna, jadącego do Viet-Namu, Michalina przepełniona była nienawiścią. Nie zdarzało się to często, by kogoś czy czegoś nienawidziła. Wtedy jednak, nienawidziła niemal aż do bólu fizycznego owego kapitału amerykańskiego, który bezlitośnie

*) Por. nr 31 i 33 „Nowej Kultury".

M. W. WĄTORSKI

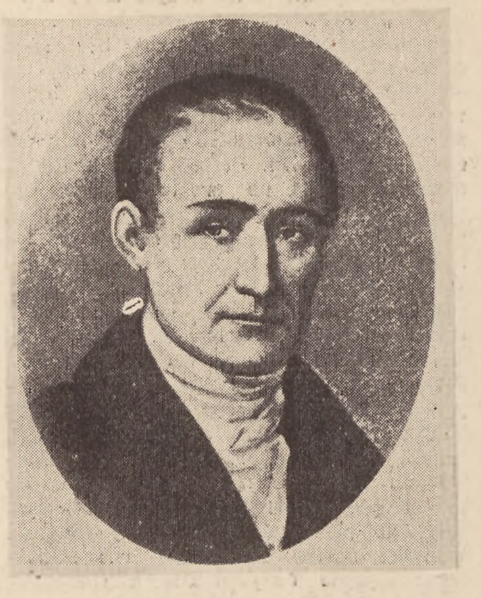
# 110 LAT FOTOGRAFII



*fot. Kazimierz Komorowski*
**Przodownik pracy (z działu polskiej fotografii współczesnej na Wystawie „110 lat fotografii artystycznej i użytkowej").**



*fot. Witold Romer*
**Start (z działu technik swobodnych)**



**Józef Nicefor Niepce**



**Louis Jaques Mandé Daguerre**

Wystawa „110 lat fotografii Artystycznej i Użytkowej" otwarta w sierpniu 1950 r. w ramach III Festiwalu Plastyki w Sopocie stała się dużej wagi zagadnieniem kulturalnym. Trudne i odpowiedzialne zadanie jakiego podjęli się jej organizatorzy, polegało na zilustrowaniu historii powstania, rozwoju oraz znaczenia społecznego fotografii, na pokazaniu w sposób naukowo i historycznie wierny, a przy tym przystępny i atrakcyjny jej dziejów.

Walka fototechniki i fotografiki o zdobycie najlepszych środków technicznych, o swój własny wyraz, jako gałąź sztuki, historia organizacji „czcicieli światła", dalej walka socjalna na tle olbrzymich możliwości dochodowych, jakie stworzyła fototechnika, wreszcie wspaniały pokaz rezultatów gigantycznej a mozolnej pracy odkrywców i artystów — oto oblicze Wystawy.

Te różne aspekty należało na Wystawie pokazać w sposób niezależny, a jednak logicznie z sobą powiązany.

Synteza tego rodzaju była próbą zdolności realizatorów Wystawy i trzeba stwierdzić, że mimo pewnych nierówności i niedociągnięć —z zadania tego wywiązali się oni bardzo dobrze.

Całość Wystawy ujęta została w 9-ciu okresach, zamykających pewne, dające się wyodrębnić osiągnięcia, od „prehistorii" fototechniki, sięgającej czasów egipskich do czasów obecnych. Liczne tablice, wykresy, makiety i modele objaśniające żmudne poszukiwania badaczy, uczonych i wynalazców, trwające całe stulecia, a mające na celu utrwalenie na drodze chemicznej obrazu powstałego w ciemni optycznej. Poszukiwania te wieńczy eksperyment Daguerre'a. Pokazano dalszy rozwój fotechniki walczącej o lepsze środki chemiczne, tańszy i lżejszy sprzęt fotograficzny, jaśniejsze obiektywy, czulszy materiał — aż do czasów aparatu małoobrazkowego nie pominięto żadnego z ważniejszych z wyjątkiem wołaczy nowoczesnych. A szkoda, bo wiele mogłoby powiedzieć np. porównanie mikro-zdjęcia tej samej emulsji, wołanej wołaczem sprzed lat 20-tu i którymś z obecnych, drobnoziarnistych.

Jak słupy milowe na tej świetnej drodze rozwoju „sztuki rysowania światłem" błyszczą takie nazwiska jak: Niepce, Talbot, Wegwood, Daguerre, Pehwal, Archer, Sayce, Ballon, Steinheil, Maddox, Bonnet, Eartman, Rudolph, Lumiere, Barnack.

Pokazano na Wystawie drogę rozwoju optyki fotograficznej i podano schematy nasłynniejszych obiektywów (z wyjątkiem jednak Plasmata i najnowszych „Klejnotów" Zeissa i Leiza jak Sonnar, Sumitar, Biotar itd.) oraz oryginalne nowoczesne aparaty fotograficzne do „Kijewa" włącznie.

Badania i poszukiwania uczonych i wynalazców w kierunku takiego ulepszenia sprzętu i materiałów fototechnicznych, aby oddawały one jak najwierniej rzeczywistość — to pierwszy i dominujący kierunek w rozwoju fototechniki. Badania te, uwieńczone pełnym sukcesem, doprowadzają do tego, że fotokamera rejestruje więcej i wierniej, niż oko ludzkie i powstaje fotografia w świetle błyskowym, mikrofotografia, rentgenografia, fotostereografia, fotografia lotnicza, barwna i w podczerwieni. Wynalazcy utrwalają ruch na taśmie filmowej. Zgromadzone eksponaty, jak seria dydaktyczna zdjęć przez filtry (Prace wstępne Wrocławskiej Katedry Fototechniki), wspaniałe fotogramy reportażowe (Archiwum W. P.), mikrofotogramy i rentgenogramy medyczne (H. Nowak, Akademia Lekarska Gdańsk i Janusz Sipayłło, Gdański Instytut Medycyny Morskiej i Tropikalnej), fotodaktyloskopia, zdjęcia metalografizyczne (Politechnika Gdańska) — mówią same za siebie.

Duxochrom Józefoskiego, powiększenia w barwach naturalnych wykonane na materiale Ansco Printon Zbigniewa Wyszomirskiego, Autochromy Janiny Mierzeckiej i Józefa Rosnera — błyszczą żywymi barwami. Sukces nowej gałęzi wiedzy i techniki, nowego środka dla poznania tajników życia — zupełny i przechodzący wszelkie oczekiwania.

Ale to nie wszystko. Zarysowuje się problem drugi. Fototechnika stworzyła środki, które mogą służyć pięknu. I już u kolebki tej nowej wiedzy — artyści dostrzegli te możliwości i tworzą obrazy o nieprzemijającej wartości, jak Dawid Oktawiusz Hill. Walczący z trudnościami na każdym kroku amator-fotograf, objuczony kilkudziesięcio kilogramowym sprzętem, wychodzi w teren, aby utrwalić piękno otaczającego go świata. Środki, coraz to lepsze, nie spełniają ich estetycznych zamierzeń. Optyków skłania się do obliczania i budowania obiektywów o rysunku syntetycznym, powstają swobodne techniki pozytywowe. uszlachetniające martwą dokładność fotogramów. Powstaje fotografika, zdążająca innymi już, własnymi drogami do innych celów.

Na Wystawie pokazano w sposób jasny i właściwy tę walkę o styl, o własne oblicze sztuki fotograficznej. Walkę artysty z bezdusznym zespołem środków techniczno-chemicznych o pełnię możliwości wypowiadania się.

Niezwykle piękne pigmenty na szkle (W. Jankowski), cała gama techniki gumowej (I. A. Neuman, Dederkowie), olejnej i bromolejnej (J. Bułhak, H. Mikolasch), przetłoków barwnych (Składanek K.) — oto pokaz szlachetnych technik pozytywu, jedyny w swoim rodzaju i dziś już niespotykany na żadnej wystawie.

I znów inna droga do syntezy obrazu: fotogramy wykonane specjalnymi obiektywami (T. Wański, Jarra). Jest i raster w postaci... tłoczonej szyby. Uszlachetnienie pozytywu na drodze czysto chemicznej: chlory i złotobromy (Wański, Hartwig). A w końcu niezmiernie intesujący zestaw swobodnych technik negatywowych: od Romerowskiej izohelii do radiofotolii H. Nowaka, poprzez bardzo udane „persony" B. Kupca i T. Wańskiego. Uwagę zwracają różne odmiany reliefów. gradientu, inwersji (solaryzacji) i fotolii (H. Nowak, M. Jankowski, B. Michalik). Piękny w wyrazie heliobrom Bilinskiego.

Wzniosłym akcentem wystawy jest zbiór portretów i prac fotografików nieżyjących. J. A. Neumana, H. Mikolascha, H. Rysia, Jasieńskiego, Barzykowskiego, Moszczeńskiego, S. Platera. E. Osterloffa, K. Składanka, Stalony-Dobrzańskiego. Jak przewodnia myśl, zawsze twórcza i porywająca, przewija się poprzez eksponaty wystawy wspomnienie nieodżałowanego Nestora polskiej fotografiki, twórczej epoki, Jana Bułhaka.

W centralnym punkcie wystawy umieszczono zestaw obrazów najnowszych, powojennych, o podejściu realistycznym do pracy i zagadnień życiowych państwa socjalistycznego.

Jako odpowiednik — umieszczono szereg dalszych reprodukcji zdjęć artystów radzieckich. Oba zbiory stanowią obecny, będący w fazie krystalizacji, wyraz fotografiki.

Fotogramy o treści przejrzystej, dobitnie świadczą, że fotografika dobrze się czuje w służbie ludzi pracy. Wzruszająco piękne zdjęcia dzieci (Heliobrom Bilińskiego, „Kojec" Kornickiej) i silne w wyrazie twarze robotników (K. Komorowski, M. Wrocławski), motywy z odbudowy kraju — oto tematy tak frapujące naszych fotografików. A radzieccy? Pokazali wysoki poziom w takich pracach, jak A. Szajcheta „Lokomotywa", Ignatowicza „Zimowa droga", Szachowskiego „Siostry Jusopow" czy Pietrusowa „Salwa zwycięstwa".

I tu trzeba zwrócić uwagę na problem trzeci, podkreślony silnie na Wystawie: na związek istniejący między sztuką a zagadnieniami społecznymi. Fakt podkreślony na wstępie, że już starożytni Egipcjanie znali tajemnicę ciemni optycznej — i strzegli jej tak zazdrośnie

(Dokończenie na str. 11-ej)

---

wysyłał jej syna na niezrozumiałą, okrutną wojnę. Ludzie tłoczyli się na peronach. Terkotały wózki tragarzy. Speaker zapowiadał nadejście i odjazd pociągów. Przez matowe szkło pokrycia przenikał błękit i światło słoneczne. Wszystko to jednak było i działo się gdzieś na marginesie, w oddali. Pociąg odwożący kolejny transport żołnierzy do Indochin ustawiono na bocznym peronie. Jakby wstydzono się tego odjazdu. Kolejarze przechadzający się tam i z powrotem mieli kamienne twarze. Nawet żandarmi wyglądali na bardzo znudzonych i zniechęconych. Jedynie tłum cywilów, stale zwiększający się, był ożywiony, choć rozmowy prowadzono przeważnie szeptem. Ciemne wnętrza towarowych wagonów, przeznaczonych dla żołnierzy nie czyniły miłego wrażenia.

— Trumny z uchylonymi wiekami — Michalinie nasunęło się to określenie.

Nie mogła zapomnieć o nim, co ją bardzo dręczyło.

Żandarmi poczęli odsuwać ludzi zebranych koło wejścia. Utworzyli szpaler. Drzwi otwarto i weszli dwójkami żołnierze. Byli bez broni, wszyscy młodzi, wyglądali ubogo i szaro w swoich uniformach. Na peronie uczyniło się cicho. Szukano swoich synów, mężów i kochanków. Z dala nadlatywał gwar wielkiego dworca kolejowego. I nagle, jakby na dany sygnał, tłum przerwał kordon. Matki, ojcowie, młode, wystrojone dziewczęta — każdy z tych ludzi dopadał jakiegoś żołnierza i chwytał go w objęcia.

Michalina i towarzyszący jej mężczyźni najpierw nie mogli dojrzeć Karola. Daremnie wypatrywali oczy. Zwracali się w prawo, to w lewo, już im się zdawało, że to on, lecz nie, było to tylko złudzenie: żołnierze są tak do siebie podobni... Dopiero gdy uczyniło się zamieszanie, cała grupa z Chamillard przez innych została wepchnięta wprost na Karola.

Karol zmężniał, rozrósł się i spoważniał. Ucieszył się bardzo widząc matkę i kolegów. Serdeczny uśmiech rozjaśnił jego twarz. Jednak nie długo zajmował się tylko Michaliną i towarzyszami. Rychło zwrócił uwagę na to, co się działo na dworcu.

— To doprawdy triumfalny odjazd — powiedział — patrzcie, co się dzieje...

Oficerowie wołali:

— Do szeregu! Do szeregu!

Ochrypli, lecz szeregów nie było. Żandarmi usiłowali przebić się przez tłum i dotrzeć do otoczonych żołnierzy. Daremnie jednak. Bali się postępować zbyt energicznie. Dużo ludzi zebrało się na dworcu. Z innych peronów również przyglądano się.

— Precz z brudną wojną! — ktoś krzyknął.

Teraz runęła lawina okrzyków.

— Nie damy naszych synów! — wołały kobiety jedna przez drugą.

Jakiś tęgi mężczyzna zaczął wymyślać na rząd. Żandarmi grozili mu, lecz nie mogli się przedrzeć doń. Gdy dotarli, mężczyzna zniknął.

— Precz z wojną! Chcemy pokoju! — skandowano.

Wzburzeni oficerowie miotali obelgi. Nagle, wszystkie stojące na dworcu lokomotywy jednocześnie dały sygnał. Maszyniści kilka razy powtórzyli tę ogłuszającą demonstrację.

— Karolu, synu mój — szeptała Michalina, gładząc Karola po ręku.

— Zwyciężymy — mówił głośno Karol — nie można walczyć z całym narodem.

— Zwyciężymy! — przytakiwali mu koledzy.

Kolejarze, maszyniści z innych pociągów wyszli na perony. Z miasta nadciągał tłum. Ktoś odczepił lokomotywę od wojskowego pociągu. Lokomotywa odjechała.

— Wieźcie ich bez lokomotywy! — krzyczano. — Zaprząc „flicków" do wagonów, niech ciągną. Hej, tam, generale — drwiono najbardziej z młodego oficerka, który rzucał się jak w ukropie — ciągnij pociąg. A żeby ci lżej było, bierz puste wagony...

Na ścianach wagonów ktoś wypisał kredą: „Precz z brudną wojną! Niech żyje pokój! Naród francuski nie ciemięży wolnych narodów! Kwiaty dla Viet-Namu.

I rzeczywiście do pustych wagonów wrzucano bukiety kwiatów.

Nadeszli czarno ubrani policjanci, uzbrojeni w karabiny. Michalinę oderwano od syna. Stała niedaleko, widziała go. Uśmiechał się. Z szeregów jeszcze wołano:

— Nie bójcie się o nas! Nie będziemy ciemiężcami!

O dalszych losach swego syna wdowa dowiadywała się od ludzi i z gazet. Pociąg z żołnierzami nie odszedł tego dnia, ani nawet następnego. Kolejarze strajkowali. Nieznani sprawcy porozkręcali szyny. Na dworzec policja nikogo nie wpuszczała. Pociągi dla cywilów zatrzymywały się tylko na dworcach bocznych. Ostatecznie transport odszedł z małej stacyjki, gdzie żołnierzy, otoczonych silnym kordonem żandarmow, przywieziono ciężarowymi samochodami. Pociąg jechał do portu dwa tygodnie, podczas gdy normalnie przebywał tę drogę w trzy godziny. Kolejarze odmawiali uruchomienia pociągu, rozkręcano szyny. Ta podróż zamieniła się w prawdziwą manifestację pokojową. Z portu okręt z żołnierzami również odpłynął ze znacznym opóźnieniem. Najpierw zastrajkowali robotnicy portowi, odmawiając załadowania na okręt sprzętu wojennego. Gdy pilnowani przez żandarmów żołnierze, ściągnięci z koszar, dokonali załadunku, zastrajkowali marynarze. Wreszcie okręt odpłynął.

Michalina otrzymała od Karola jeszcze jeden krótki list, pisany pośpiesznie, ołówkiem. Widocznie chłopiec dał go komuś do wrzucenia w drodze.

„Kochana matko" — pisał Karol. — „Nie martw się o mnie. Jadę tam, gdyż uważam, że tak będzie lepiej. Znalazłem i tutaj dobrych kolegów. Pilnują nas bardzo, ale nie upilnują. Jedziemy przepojeni wolą położenia kresu brudnej wojnie. Niech żyje pokój! Niech żyje wolność!"

Następny doszedł do niej dopiero po trzech miesiącach. W tym liście już nic nie było. „Jestem zdrów. — Dobrze mi się powodzi"... Michalinie przypomniały się pokazywane jej przez znajome listy, które pisali uwięzieni w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. Ponad to list nie podawał adresu Karola, lecz jakieś kabalistyczne połączenie liczb i liter. Michalina pisała kilka razy na ten dziwny adres, ale nie otrzymała już żadnej odpowiedzi. Chodziła po znajomych, rozmawiała z kolegami Karola, pytała ich, co może oznaczać tak długie, trwające miesiąc, potem dwa i trzy, milczenie Karola.

Pocieszano ją. Daleką drogę miały do przebycia listy z Indochin. A poza tym przecież Karol nie zawsze mógł pisać: nie zawsze były warunki na to. No i listy wysyłane przez pocztę polową idą długo i nieregularnie.

— Ale Karol otrzymuje listy i paczki ode mnie? — Michalina szukała przynajmniej połowicznego pocieszenia.

Zapewniano, że tak. Z pewnością wszystko, co wysłała, Karol dostał.

Jednak Michalina już nie wytrzymywała nerwowo. Traciła siły. Chwytała się na tym, że myśli o Karolu, tak jak o Filipie, to znaczy... to znaczy, jak o zmarłym!

Mijały dnie i noce, jednakowo ubogie i monotonne. Listonosze mijali dom Michaliny jak zapowietrzony. Oni także nie mogli patrzeć spokojnie na cierpienie wdowy.

Michalina dyskutowała z Karolem.

— Robisz tam porządek. Triumfalny odjazd — mruczała półgłosem sama do siebie... — I co ty tam robisz? Co?! Co?!! Napisz, powiedz...

Ludzie jej unikali, zdziwaczała do reszty. Jedynie koledzy Karola odwiedzali ją od czasu do czasu, ale też nie często, gdyż byli bardzo zajęci.

Na zmianę opadał ją nastrój wiary. Chodziła po mieście, zaczepiała listonoszy, żądając, by dokładnie przejrzeli swe torby, gdyż dzisiaj musi nadejść list od Karola, jej syna, będącego na wojnie, w Viet-Namie. Była nawet na poczcie z reklamacją. Rozmawiano z nią bardzo grzecznie. Znano ją już w mieście. Obiecano sprawdzić, dlaczego nie otrzymuje wiadomości od syna. Pisała do dowódcy armii lądowej, domagając się wyjaśnienia. Oczywiście, nie otrzymała odpowiedzi. Nachodziła swych dawnych znajomych, męczyła ich opowiadaniami o Karolu i zapewniała, że Karol wkrótce powróci.

Potem ogarniała ją zupełna apatia. Już w nic nie wierzyła. Karol był jej najbliższym zaginionym czy zmarłym. Płakała. Wizerunek Filipa bladł. Na pierwszy plan wybijał się Karol. Znów drwiła z niego. To on nie miał racji. To on źle sobą pokierował. Ona miała rację. I Filip miał rację.

Jaką rację? Tego oczywiście nie potrafiłaby powiedzieć.

Wreszcie po sześciu miesiącach męczarni wszystko się wyjaśniło. Pewnego słotnego, październikowego dnia, wąsaty listonosz, od rogu już wywijał kopertą.

— Pani Delles! List! List!! — wołał.

Michalina dotykała koperty jak relikwii. Ostrożnie otworzyła ją. Wewnątrz znajdowało się tylko krótkie zawiadomienie:

„Karol Delles poległ śmiercią żołnierza 29 maja 1949 roku i został pogrzebany na miejscu"...

5

Michalina nie wiedziała, że w tekście zawiadomienia krył się zasadniczy fałsz.

Swego czasu dzienniki i tygodniki francuskie dużo miejsca poświęcały sprawom wojny w Viet-Namie. Na temat owej wojny wypisywano wielką liczbę słów kłamliwych i obłudnych, a także znaczną ilość słów prawdy. Dużo hałasu uczyniły sprawozdania reportażysty pewnego katolickiego tygodnika. Dziennikarz ten spędził w Indochinach kilka tygodni i był świadkiem wielu wypadków oburzających jego sumienie europejskiego katolika. Zwłaszcza jeden z nich, opisany przez owego dziennikarza, stał się przedmiotem komentarzy licznych dzienników. Historia ta dla ludzi znających stosunki w Viet-Namie oraz podłoże wojny vietnamskiej nie była niczym niezwykłym, była jedną z wielu. Tym bardziej żołnierze, przez długie miesiące spełniający rozmaite rozkazy swych zdecydowanych na wszystko dowódców, nie dopatrzyliby się w niej cech wyjątkowości. Ot, zwykła vietnamska, wojenna historia...

A jednak stała się ona punktem wyjścia dla rozważań wielu poważnych publicystów, przy czym jej sens moralny zwłaszcza został zaakcentowany w owych artykułach. Jak podkreślały dzienniki komunistyczne, powszechny, ogólnonarodowy protest przeciw brudnej wojnie, sprawił, że odłam prasy subwencjonowanej przez czynniki popierające tę wojnę, został niejako przez nie wyznaczony do przyłączenia się do głosu powszechnej wrogości, oczywiście w sposób mający się przysłużyć nie tyle sprawie pokoju w Viet-Namie, co właśnie wojny. W Indochinach dzieją się świństwa, ohydne fakty mają tam miejsce, cywilizacji europejskiej wymierzają one policzek, są przedłużeniem metod hitlerowskich — tak ostro pisali publicyści. Jednak wnioski z tej sprawy wyprowadzali znacznie mniej zasadnicze. Ba, nie ruszyli sedna zagadnienia, jak nie ruszył go także ów katolicki dziennikarz. Bo nie o to szło, że w całą tę sprawę zamieszany był Karol Dellès. Szło o samą wojnę. Obłudny liberalizm — oto na co jedynie zdobyli się publicyści, pragnąc stępić ostrze ataków skierowanych przez komunistów w samą wojnę. W ten sposób chciano osłabić nienawiść do zaborczej wojny, stale potężniejącą i stale zyskującą tysiące nowych sojuszników wśród Francuzów.

**Jerzy Pytlakowski**

STEFANIA ŁOBACZEWSKA

# KONKURS BACHOWSKI
## PAŃSTWOWEJ WYŻSZEJ SZKOŁY MUZYCZNEJ W KRAKOWIE

Pośród wielu imprez organizowanych ku uczczeniu Roku Bachowskiego, wewnętrzny Konkurs studentów Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie zasługuje specjalną uwagę. Był on najbardziej wymownym dowodem tego, jak dalece zmieniły się na skutek ostatniej reformy oblicze i zasięg naszego szkolnictwa muzycznego. Nikt nie może wprawdzie zaprzeczyć, że już w okresie międzywojennym mieliśmy w Polsce wiele szkół muzycznych postawionych na dobrym poziomie (z warszawskim Konserwatorium na czele), że pracowały tam jako profesorowie jednostki wybitne pod względem artystycznym i pedagogicznym i że wyszedł stamtąd szereg młodych talentów, zdobywających później estrady krajowe, a często i zagraniczne. Ale były to zawsze właśnie tylko jednostki — i to jednostki, których wybór dokonywany bywał raczej przypadkowo. Winę za ten stan rzeczy ponosiła sama organizacja naszych muzycznych szkół przedwojennych, kształcących młodzież wszelkiego wieku i wszystkich stopni od samych początków aż do t. zw. dyplomu wirtuozowskiego, nie nastawiona z jednej strony na odpowiednią selekcję kandydatów, z drugiej zaś strony narażona z reguły na znaczny odsiew najzdolniejszej nawet młodzieży, która często czy to ze względu na położenie materialne czy na swe pochodzenie społeczne nie była w stanie dokończyć studiów. Dopiero dzisiejsza zreformowana Wyższa Szkoła Muzyczna, zorganizowana według wymogów współczesności, zdolna jest przeprowadzić odpowiednią selekcję, skupić u siebie prawdziwe talenty zarówno jak i odpowiednie siły pedagogiczne. Dzięki tym zmianom mogły dopiero nasze Wyższe Szkoły Muzyczne stać się uczelniami o zasięgu i zadaniach jasno skonkretyzowanych, mogły podjąć się kształcenia przodujących kadr przyszłych wirtuozów, dyrygentów i kompozytorów i ześrodkować się w całości na tych zadaniach specjalnych. Bo jasne jest, że wymogom specjalizacji podlegać muszą w tym wypadku wszystkie czynniki, składające się na t. zw. Wyższą Szkołę Muzyczną: że dotyczą one nie tylko odpowiednio wyselekcjonowanych kadr studenckich i profesorskich, ale też i własnych, różnych od szkół muzycznych innego typu, metod pracy i środków, którymi się posługują.

Wyniki reformy nie dały na siebie długo czekać. Dowiódł ich już poznański pokaz na festiwalu Wyższych Szkół Artystycznych w jesieni ub. r., gdzie cały szereg naszych Wyższych Szkół Muzycznych wykazał poważne osiągnięcia. Dowiódł przede wszystkim Międzynarodowy Konkurs Chopinowski, którego świetne rezultaty zawdzięcza ekipa polska nowym metodom pracy zespołowej zainicjowanym przez profesorów pośród absolwentów tych szkół. Dowiodła tegoroczna dalsza praca zespołowa w miesiącach letnich w Łagowie, podobnie jak i sam fakt, że w tych warunkach możliwe stało się zorganizowanie dla naszych Wyższych Szkół Muzycznych Ogólnopolskiego Konkursu Bachowskiego w bieżącym miesiącu w Poznaniu.

Do osiągnięć tej samej kategorii należy i wewnętrzny Konkurs Bachowski PWSM w Krakowie, który odbył się w dniach 23—30. ub m., który w naszych dawniejszych, przedwojennych warunkach byłby wogóle nie do pomyślenia. Bo czyż było możliwe wystawienie przez jedną szkołę 4 ekip studenckich, liczbowo pokaźnych (8-osobowa ekipa **pianistów**, w której wzięli udział studenci z klas prof. prof. **Drzewieckiego, Hoffmana, Kleina i Sztompki**; 7-osobowa ekipa **organistów** z klas prof. prof. **Chwedczuka i Rutkowskiego**; 6-osobowa ekipa **skrzypków** z klas prof. prof. **Felińskiego, Tawroszewicza i Umińskiej**; 3-osobowa ekipa **śpiewaków** z klas prof. prof. **Romaniszyna i Zawadzkiej**; prócz tego produkcja z klasy kameralnej na 2 fortepiany uczniów prof. **Drzewieckiego i wiolonczeli** solo z klasy prof. **Mikulskiego**) i z tak trudnym i odpowiedzialnym programem? Wystarczy przypomnieć, że program ten obejmował wyłącznie muzykę bachowską, wymagającą najwyższej dojrzałości muzycznej i technicznej, zwłaszcza, że zadania, które postawiło jury krakowskie bynajmniej nie brały pod uwagę jakichkolwiek „okoliczności łagodzących" dla swych kandydatów, będących jeszcze studentami. Każdy z pianistów i skrzypków grał w 2 etapach. W pierwszym etapie utwory solowe (dla pianistów po 2 Preludia i Fugi z „Wohltemperiertes Klavier" oraz jakiś inny jeszcze utwór większych rozmiarów: Partita, Toccata, Koncert Włoski, Fantazja Chromatyczna z fugą, podobnie dla skrzypków, z tym, że ci ostatni mieli przed sobą zadanie specjalnie trudne, otrzymując jedną z Sonat na skrzypce solo, wśród których znalazła się dwukrotnie i Sonata d-moll ze słynną Chaconną). W drugim etapie grali wszyscy — tak pianiści jak i skrzypkowie Koncert z orkiestrą. Dla organistów warunkiem przystąpienia do Konkursu było wykonanie 3 chorałów oraz Toccaty lub jednej z większych fug. Dla śpiewaków — arie z orkiestrą i kantaty solowe. Do Konkursu wykonawczego dołączono też Konkurs kompozytorski, do którego zgłoszonych zostało 5 utworów (preludia, toccaty, kantata, koncert na organy i orkiestrę) przez studentów z klas prof. prof. **Malawskiego i Wiechowicza.**

Konkurs był publiczny. Produkcje odbywały się przez cały tydzień po 2 razy dziennie (od godz. 10—13 i od 15—18), przy licznym udziale publiczności. Dla każdej grupy kandydatów zorganizowane zostało jury z odpowiednich fachowców, profesorów Szkoły, którzy głosowali przez punktację, podobnie jak przy Konkursie Chopinowskim. Orkiestrą dyrygowali również profesorowie lub (w większości wypadków) studenci krakowskiej PWSM z klasy prof. **Malawskiego.** Poziom był naprawdę bardzo dobry i wyrównany, przy czym podkreślić należy, że do Konkursu stanęli studenci wszystkich lat studiów, począwszy od 1 aż do ostatniego, i że cała inicjatywa i organizacja spoczywały wyłącznie na barkach Szkoły (oczywiście przy odpowiedniej pomocy materialnej Ministerstwa, które nadesłało nagrody pieniężne).

Sumując rezultaty konkursu krakowskiego stwierdzić należy, że nie ograniczają się one bynajmniej tylko do pozytywnych rezultatów pracy krakowskiej PWSM, jej wysokiego poziomu artystycznego i pedagogicznego i wagi nowych warunków społecznych, które umożliwiły te osiągnięcia. Orientujemy się wszyscy, że rezultaty te sięgają o wiele głębiej. Rzeczą najważniejszą jest fakt wciągnięcia poprzez uczestnictwo w Konkursie tak znacznej grupy młodzieży studiującej w najbliższy kontakt z muzyką Bacha. Wszak to jest wielka szkoła muzyki, która każdemu z nich otwiera wrota do dobrze zrozumianej samodzielności artystycznej, probierz ostateczny najwyższej muzycznej dojrzałości. Ona — jak żadna inna — rozwija i kształci smak muzyczny, odsłania nowe horyzonty, uczy szukać w muzyce najgłębszych akcentów wykonawczych, współtwórczego ustosunkowania się do dzieła. I jeszcze jedno. pozwala — jak każdy renesans sztuki dawniejszych epok — ustalić stosunek współczesności do tej sztuki. Bo to jest chyba najistotniejszym sensem wszelkich rocznic i hołdów, składanych przy takich sposobnościach wielkim twórcom: uświadomienie sobie tego. czym sztuka jego ma się stać dla naszej epoki, co z niej ta nowa epoka może dla siebie wyciągnąć i co nawzajem dać jej ze siebie, odkrywając w niej jakieś aspekty nowe, ukryte dla oczu poprzednich generacji. W wypadku Bacha oznaczałoby to w pierwszym rzędzie problem takiego wykonawczego podejścia do jego muzyki, które wynika bezpośrednio z naszych dzisiejszych potrzeb kulturalnych. Potrzeby te są różne w stosunku do okresów poprzednich. Jedną z najbardziej zasadniczych jest nowe spojrzenie na muzykę dawniejszych epok z perspektywy jej użyteczności społecznej. Zdarza się, że muzykę niejednego kompozytora, szanowanego przez generacje poprzednie, odrzucamy jako tę. która ma dla nas mniejszą użyteczność społeczną. Ale zdarza się też, że u innego, który dawniejszym generacjom pokazywany bywał stale tylko jako niedościgniony wzór wartości konstrukcyjnych, wyzbyty wszelkiej emocji i swym olbrzymim wymiarem jakby sankcjonujący tę pozorną formalną samowystarczalność dzieła muzycznego, odkrywamy naraz właśnie bogactwo tej emocji. A odkrywając ją — cieszymy się nową jakością tej emocji, niepodobną do innych i faktem że możemy dany typ muzyki uznać za użyteczny społecznie w dzisiejszym tego słowa znaczeniu. Tak właśnie jest z muzyką Bacha. Poznając go coraz bliżej, odkrywamy w nim nieprzeczuwane bogactwo emocji, która poruszyć może nie jednostki, ale szerokie rzesze ludzkie. Miejmy nadzieję, że tegoroczne Konkursy Bachowskie spełnią w tym kierunku swoje zadanie. Zdobycz ta będzie miała dla nas tym większą wartość, gdy osiągnięta zostanie wysiłkiem naszej młodzieży artystycznej.

**Stefania Łobaczewska**

# ŻYCIE TEATRALNE W JELENIEJ GÓRZE

*(Dokończenie ze str. 10-ej)*

kowcu, czy w Kamiennej Górze. Nie pomija w swych objazdach małych miejscowości, jeśli tylko istnieją możliwości zorganizowania przedstawień. I to jest największą zasługą teatru, to właśnie upowszechnianie kultury wśrod chłopstwa przez docieranie do najbardziej zapadłych i nieznanych miejscowości. Hasło o upowszechnianiu kultury przestaje być więc hasłem na papierze, a nabiera rumieńców życia.

Z rozmów przeprowadzanych z tego rodzaju widzami w kilka dni po przedstawieniu widać, jak na dłoni, że przeżycia teatralne pozostawiają głębokie ślady, że widz sztukę przetrawia na swój sposób, zastanawia się nad nią i analizuje grę aktorską

W ostatnim sezonie Teatr dawał przedstawienia w wielu miejscowościach, jak np. w Bolesławcu, Bukowcu, Cieplicach Śląskich, Gryfowie Śląskim, Kamiennej Górze, Karpaczu, Kowarach, Legnicy, Lwówku, Mirsku, Nowogrodziu, Podgrodziu, Szklarskiej Porębie, Świeradowie Zdroju, Wojcieszowie, Zgorzelcu.

Poza sztukami z repertuaru współczesnego wystawia tutejszy teatr i sztuki z repertuaru klasycznego, aby uzupełnić wiedzę widza o teatrze czasów minionych. Oczywiście, nie wszystko, co wystawia się na większych scenach, nadaje się do pokazania na naszym terenie, dlatego uważam, że o ile „Zielony Gil" mniej nadawał się dla tutejszej publiczności, tak ze względu na treść, jak i na formę, nie mówiąc o niedociągnięciach natury reżyserskiej, to „Oberżystka", dzięki przejrzystej fakturze i umiejętności reżyserii, oddającej doskonale czasy schyłkowego feudalizmu, trafiła do widowni, co znalazło też wyraz we wzmożonej frekwencji publiczności.

Jeśli idzie o sztuki o tematyce wiejskiej, to dużym powodzeniem wśród chłopstwa cieszyła się właśnie „Zapora" Dybowskiego, wystawiona tutaj pod zmienionym tytułem „Złoto w dolinie", która choć obfituje w pewne niedociągnięcia i psychologiczne i fakturalne, to jednak dzięki pogodnej na ogół atmosferze, chętnie jest oglądana przez tutejsze chłopstwo.

Trudno w tej chwili zorientować się, jak zareaguje publiczność wiejska na sztukę Bałtuszisa „Pieją koguty", która ma ponurą i przygnębiającą atmosferę. Sztuka ta niedawno dopiero weszła na afisz i jest grana na razie w samej Jeleniej Górze. Wprawdzie sztuka „Pieją koguty", jest — jak wiadomo — świetnie „zrobioną" sztuką przez nieznanego do niedawna introligatora litewskiego, jest niemniej doskonale opracowaną pod względem reżyserskim przez Wasilewskiego, to jednak, sądząc z dotychczasowej frekwencji, zapewne nie będzie się cieszyła takim powodzeniem, na jakie zasługuje. Oto jeszcze jeden przykład, z jakimi trudnościami walczyć musi kierownictwo teatru, aby przełamać pewne opory tkwiące w widzu i uczynić go naprawdę swym dobrym odbiorcą, odnoszącym się z pełnym zaufaniem do tego, co mu daje teatr.

Pozostaje jeszcze do omówienia gra aktorów. Zapewne, wiele słuszności ma Jerzy Broszkiewicz, który w jednym z numerów „Nowej Kultury" przypomniał starą i znaną prawdę, że nie nazwisko twórcy, ale ciężar gatunkowy dzieła jest sprawą najważniejszą, niemniej należy coś powiedzieć o tej garstce aktorów z Jeleniej Góry pracujących z całym zaparciem, o których mało kto wie i o których tak rzadko się mówi.

O ile aktorzy z większych miast zażywają „sławy", wyrażając się patetycznie, dzięki temu, że prasa miejscowa nie pomija najmniejszej sposobności, by o nich mówić, to na dalekiej „prowincji" w rodzaju Jeleniej Góry, gdzie nie ma pism nie tylko codziennych, ale i periodyków, głuche milczenie towarzyszy pracy tych ludzi A przecież dla aktora nie ma większej nagrody nad to „doczesne" uznanie ze strony współczesności, wyrażone w formie recenzji w piśmie. Praca jego jest przemijająca i pamięć o niej trwa, dopóki aktor żyje i żyją ci, którzy go oglądali na scenie. Dlatego korzystam z okazji, by zaznaczyć, że pozostanie na długo w pamięci publiczności taka rola, jak starego Gzymsika w „Romansie z Wodewilu", czy Syroliza w „Szczyglim Zaułku" w wykonaniu Ryszarda Wasilewskiego, czy też Berseniewa w „Przełomie" w interpretacji Mariana Bogusławskiego. Głęboko przeżywała publiczność problem murzyński w sztuce „Korzenie sięgają głęboko", a to dzięki bezpośredniości w grze Eugenii Horeckiej, czy Stefana Rybarczyka. A ile prawdy i realizmu mieściło się w grze Marii Piaseckiej bez względu na to, czy była to epizodyczna rola małej Britty w „Wiośnie w Norwegii", czy też duża i odpowiedzialna rola Blanki w „Szczyglim Zaułku". Wiele finezji kobiecej wykazała Zuzanna Łozińska w roli Ochotnickiej z „Klubu Kawalerów", wiele znów komizmu i groteskowego ujęcia było w grze Ireny Orzęckiej, kreującej rolę Dziudziulińskiej w tejże sztuce. Pełną ekspresji była gra Jerzego Sobieraja jako Szwandii w „Lubow Jarowoj". Żałować należy, że tutejsza publiczność nie oglądała w tej roli Jana Kurnakowicza, interesujące byłoby bowiem zestawienie gry tych dwu aktorów i interesująca byłaby wypowiedź publiczności co do właściwego ujęcia tej postaci. Wspomnieć trzeba jeszcze o Witoldzie Thielmannie, młodym i utalentowanym aktorze, który według słów Leona Kruczkowskiego, był niewątpliwie najlepszym w Polsce wykonawcą epizodycznej roli majora w „Niemcach".

Ażeby otrzymać pełniejszy obraz ze wszystkimi blaskami i cieniami, należy dodać, że w pamięci publiczności zostają nie tylko kreacje nieprzeciętnej miary, w które aktorzy włożyli wiele wysiłku i pracy, ale i role „puszczone" i niedociągnięte pod wieloma względami. I tak chybionym pomysłem było powierzenie roli matki w „Wiośnie w Norwegii" Jadwidze Jarwicz, zupełnie nieprzemyślaną Wierą była Emilia Ziółkowska w „Przyjaciołach", a za nieporozumienie co najmniej trzeba uznać grę Janiny Gozdeckiej w „Szczyglim Zaułku".

Umyślnie piszę i o niedociągnięciach, aby nie posądzono mnie o jednostronne naświetlanie działalności tutejszego teatru. Uważam jednak, że na ogół zespół ma poziom gry wyrównany, a pewne uchybienia, które zresztą zdarzają się rzadko, nie są w stanie obniżyć istotnej wartości, jaką przedstawia Państwowy Teatr w Jeleniej Górze.

Ze teatr spełnia w sposób właściwy nakreślone sobie zadania, że jego praca ma charakter długodystansowy, świadczy nalepiej wzrastające uznanie, jakie zdobywa sobie teatr wśród ludzi pracy miast i wsi.

Dodać należy, że teatr tutejszy odgrywa również niemałą rolę społeczną, opiekując się zespołami świetlicowymi, między innymi i zespołem w pobliskim Sobieszowie, który to zespół otrzymał pierwszą nagrodę za „Loterię" Moniuszki na konkursie zespołów świetlicowych, zorganizowanym w Warszawie przez Ligę Kobiet.

Kierownictwo artystyczne Państwowego Teatru w Jeleniej Górze spoczywa w rękach Zuzanny Łozińskiej, a kierownictwo literackie piastuje Edward Kozikowski.

**Maria Gabriela Plaskota**

# Pisarze radzieccy—bojownicy o pokój

*(Dokończenie ze str. 3-ej)*

są tak dalekie od kontemplacyjnego podziwu, od zastraszania „malutkich człowieczków" wielkością i obojętnością przyrody. Dlatego właśnie obrazy piękna przyrody nigdy jeszcze nie miały takiego znaczenia ideowego, nie były tak nasycone, takie ważkie jak w literaturze radzieckiej, poczynając od twórczości Gorkiego.

Żałosnym obrazem odwrotu wojsk rozpoczyna się powieść radzieckiego pisarza Michała Bubiennowa „Biała brzoza", poświęcona trudnemu okresowi 1941 r.

„W południe, zatrzymawszy się na szczycie wysokiego pagórka, Andrzej wyprostował się jak struna nad uschniętymi trawami i z wysiłkiem powiódł dokoła oczami. Wąwozem wlokły się ponuro gromady żołnierzy...

... Na stoku niewielkiego pagórka przy samej drodze stała samotnie młodziutka brzoza. Miała delikatną, jasną, atłasową korę. Brzoza po dziecinnemu, radośnie potrząsała gałęźmi, jak gdyby witając w zachwyceniu słońce. Wiatr, igrając wesoło, przeliczał dźwięczne dukatowe złoto jej listowia. Zdawało się, że płynie od niej łagodnie światło jak od czarodziejskiej pochodni..."

Biała brzoza — drzewo z rosyjskich pieśni jest wyrazem tego wszystkiego, co jest zawarte w powieści. Ona właśnie — skromna brzoza, zuchwale przeciwstawia się smutnemu obrazowi odwrotu jak symbol przyszłego zwycięstwa, czysta i radosna jak słowo **pokój**; promieniuje z niej światło pokoju. A w tej samotności białej brzozy jest głęboka poetycka myśl: to tylko **tutaj**, w mrocznym królestwie wojny jest ona samotna! Tutaj jest tylko symbolem, przypomnieniem, wieścią o królestwie **pokoju** — a tam nie jest samotna — nie, tam są szerokie przestrzenie dla białych kędzierzawych brzóz, tam prowadzą one gwarne korowody wokół lśniących polanek...

Tylko ludzie z natury samej nastrojeni pokojowo mogli wynieść brzózkę do symbolu zwycięstwa! Dlatego też ludzie ci, ponieważ miłują pokój, zwyciężają wszystkich swych wrogów we wszystkich wojnach. „Ten kto jest silny, nie bywa zaczepny" — mówi jeden z bohaterów „Białej brzozy" o jej głównym bohaterze Andrzeju, którego charakter zawiera dużo narodowych cech rosyjskich — umiłowanie pokoju, skromność rzeczywistej, spokojnej, pewnej siebie siły.

Odpierając nacisk wroga w wojnie narzuconej przez faszyzm, niszcząc hitlerowskich rozbójników, ludzie radzieccy dążyli do tego, aby jak najszybciej przystąpić do urzeczywistnienia swoich twórczych pokojowych planów, marzeń i tego wszystkiego, co przerwała wojna.

Powieść Borysa Gorbatowa „Niepokonani" kończy się obrazem wyzwolonego Donbasu.

„Jakby na święto szli ludzie do budowy mostów i dróg — byli stęsknieni za swobodną pracą jak za chlebem. Wokół zwęglonych szkieletów fabrycznych zbierali się robotnicy. W kopalniach nie czekając na rozkaz wypompowywali wodę. Majstrowie krzątali się na cmentarzysku parowozów. Grzebali się w śniegu, wybierali śruby, nakrętki. Kobiety znosiły meble do szkoły. Z lasów i parowów wracali partyzanci. Wszystko było opanowane pragnieniem odrodzenia. Ziemia dźwigała się z popiołów. Ludzie nie chcieli czekać, nie mogli czekać — na pola, gdzie wczoraj jeszcze toczył się bój, wyszli kołchoźnicy."

Nikifor również poczuł jak zaczynają go niecierpliwie swędzić ręce.

„Ach, ileż to pracy! pracy!" — myślał chciwie, patrząc na martwe budynki fabryczne.

To nie zmęczony, chory żołnierz wracał z frontu, to wracał budowniczy. Chciwy, niecierpliwy."

Tak, to nie zmęczony, chory żołnierz wracał z frontu — żołnierz pokoju wracał do tego, w czym zamyka się treść jego życia, do tego, o co walczył — to znaczy do pokoju i twórczej pracy.

Choćby się nie wiem jak miotały imperialistyczne wyrzutki, dążące do rozpętania nowej wojny światowej, nie potrafią wypalić ogniem ani zagasić wodą, ani oślepić, ani zasypać ziemią ludzkiego marzenia o szczęściu i pokoju. To marzenie zamieniło się w **wolę**, staje się **czynem** całej ludzkości i dlatego zwycięży!...

**Przełożyła Irena Piotrowska**

# 110 LAT FOTOGRAFII

*(Dokończenie ze str. 10-ej)*

dla swych kastowych celów, że po wielu wiekach musiała być ponownie wynaleziona — ma swoistą wymowę. A potem wysiłki uczonych, podejmowane w samotności, bez żadnego oficjalnego poparcia, obracane w zabawkę bogaczy, badania Niepce'a i Daguerre'a, dostrzeżone i licho nagrodzone przez rząd dopiero po uzyskaniu konkretnych rezultatów — powstanie wielkich koncernów fotograficznych, węszących intratny interes — wszystko to przedstawiono na Wystawie w sposób obiektywny, a przekonywujący.

Wreszcie walka fotografików o uznanie ich działalności jako sztuki. Ten, kto miewał wątpliwości co do tego, czy fotografika jest istotnie sztuką, niech obejrzy sobie wystawę, a zwłaszcza obrazy z okresu technik szlachetnych i realizmu. Czasy, gdy sztuka nasza zmuszona była mało podatnym materiałem do naśladowania malarstwa, gdy szczytem pochwały dla fotografika było powiedzenie: „to przecież zupełnie jak obraz"... — czasy te bezpowrotnie minęły.

Fotografika ma swój własny, silny wyraz, a bardzo obecnie elastyczny brom i techniki negatywowe — wytknęły jej własną drogę, równoległą do innych sztuk, drogę ku trudnemu pięknu.

Charakterystyczny jest dla oceny wartości tej naszej sztuki taki drobny moment wzruszenia, jakie człowieka ogarnia przed portretem Mickiewicza, czy Chopina, opracowanym wiernie przez J. Dorysa na podstawie dagerotypu. Tak oni naprawdę wyglądali — bez upiększeń, niedomówień i licencji malarskich. To jest i sztuka i dokument epoki — a to ma wartość podwójną.

Ciekawy jest również zbiorek publikacji i dokumentów z życia organizacyjnego fotografików polskich, moment powstania Polskiego Towarzystwa Fotograficznego, Polskiego Związku Fotografików i akt uznania przez Państwo twórczości fotograficznej za działalność artystyczną, stanowiący punkt zwrotny w dziejach polskiej fotografiki.

Uważam, że nawet mocno zaawansowany amator, może z Wystawy wynieść dużą korzyść — choćby przez obejrzenie najnowszych technik negatywowych. Nie spotykany w żadnym podręczniku skrót historii fotografii — ma bezwarunkowo dużą wartość dydaktyczną.

Wystawa pobudza do refleksji, nasuwa wniosek, że czas już najwyższy, aby stworzyć centralne, a nawet i lokalne muzea, czy archiwa fotograficzne. Materiału jest dużo i bardzo ciekawego, a te $4/5$ eksponatów niepokazanych — co najmniej niepokoją ciekawskich zawsze amatorów fotografii.

Na minus Wystawy zapisać należy jej oprawę graficzną. Temat był, jako całość zagadnienia wdzięczny do opracowania i — przy stosunkowo niewielkim jeszcze dodatkowym nakładzie środków (pieniędzy i odpowiednich materiałów) można było to samo pokazać ładniej.

Na zakończenie pragnąłbym jeszcze zwrócić uwagę na pokaźny wkład Polaków w dzieło rozwoju fotografiki: począwszy od nieznanego wynalazcy dawniej, przeddaguerowskiej techniki pozytywu, myśl twórcza stale towarzyszy poczynaniom Polaków w tej dziedzinie. Widzimy na wystawie obiektyw wytwórni „Fos", czytamy o doskonałych materiałach pozytywowych, homograwiura wynalezionych przez inż. Piotra Lebiedzińskiego, który w 1888 r. założył w Warszawie pierwszą na świecie fabrykę papierów fotograficznych.

Polacy budują automaty projekcyjne, opracowywują techniki szlachetne pozytywowe (bromografika Bułhaka J., gumy Dederki, heliobromy Bilińskiego) i negatywowe (izohelia prof. Romera), różne odmiany fotolii i ulepszony sposób wykonywania rentgenogramów (radiofotolii) H. Nowaka stanowią cenny wkład do techniki zdjęć naukowych. Nowe emulsje specjalne opracowuje do celów naukowych Wrocławska Katedra Fototechniki.

Wkład Polaków do ogólnego dzieła rozwoju fotografiki i fototechniki jest znacznie większy; jest prawie pewne, że sprzężony z obiektywem dalomierz — jest wynalazkiem polskim. Poza tym był w Poznaniu nieznany mi z nazwiska konstruktor, który budował doskonałe obiektywy o niezwykłej głębi rysunku i niezrównanej miękkości, używane przez niektórych fotografików. Zapomniane nazwiska należałoby odgrzebać z pyłu niepamięci i umieścić w zaszczytnym rejestrze twórców.

**M. W. Wątorski**

# mała kronika



zkoda, że G. B. Shaw umarł. Gdyby żył, miałby temat do znakomitej farsy. Mógłby wrócić do sprawy pani Warren. Przed pół wiekiem Shaw napisał komedię o burżuazji. Wykazał, że dla burżuazji prostytucja jest źródłem zarobku równie szanowanym, co drukowanie Biblii. Shaw kpił z Anglii królowej Wiktorii, że prostytucja jest dla niej zarobkiem, dziś mógłby kpić z Anglii Attleego, że zarobek jest dla niej prostytucją. Burżuazja wiktoriańska kupczyła upadłymi dziewczętami, „socjaldemokracja" Attleego kupczy narodem. Tam klientami byli synkowie mieszczańscy, tu — klientami są synkowie koncernów z Wall Street. Tamci poważyli się na wojnę światową, aby rozedrzeć gardło konkurentom — imperialistom, ci gotowi są sprowokować trzecią wojnę, aby nie dopuścić do władzy własnego narodu. Tamci wykorzystywali dla zarobku pracę dzieci, zamęczając je szesnastogodzinnym dniem roboczym, ci mordują dzieci z samolotów, pacyfikując wioski malajskie i wprowadzając „demokrację" do miast Korei. Głos Shawa pozostał odosobniony; pisarze wiktoriańscy zachwyceni byli spokojną epoką babki Warren. I dziś Shaw byłby samotny; „socjalistyczni" pisarze zachłystują się pochwałami epoki wnuczka Warren. Niedawno córka Priestleya pochwaliła się dziennikarzom, że jej mąż, major lotnictwa, został ranny na Korei, otrzymał medal za odwagę i że jej papa, znakomity dramaturg, niezmiernie się cieszy z odznaczenia zięcia. Profesja pani Wdrren, czerpiącej dochody z prostytucji, stała się zawodem „socjalistów" angielskich.

To też trudno się dziwić, że rząd angielski uniemożliwił zwołanie Drugiego Światowego Kongresu Pokoju w Sheffield. Co najwyżej można podziwiać krętactwo, obłudę i fałsz, z jakim to uczynił. Oficjalnie na Kongres pozwolił, tylko nie udzielił wiz delegatom. Nie wydał ustawy, zabraniającej wolności mowy, tylko zagroził delegatom angielskim konsekwencjami, a przedstawicielom angielskiej klasy robotniczej wydaleniem z pracy. Niektórym delegatom pozwolił nawet wjechać do Anglii, ale obstawił porty i lotniska tajniakami, którzy chwytali każdego delegata i po przesłuchaniu wydalali z Anglii. Nie zabronił akcji pokojowej, tylko ustami samego wnuka pani Warren, premiera Attleego ogłosił, że Kongres Pokoju stanowi dla pokoju... groźbę. Jakoby Kongres Pokoju nie ogłaszał manifestu pokojowego, lecz, jak wojskowe władze brytyjskie w Zachodnich Niemczech, wezwanie do wszystkich hitlerowców, którzy walczyli z Armią Radziecką na ziemiach demokracji ludowych, aby składali władzom okupacyjnym wszelkie fotografie, mające strategiczne znaczenie. Dziwię się, że wojskowe panie Warren, które gnieżdżą się w Zachodnich Niemczech, nie zwróciły się do Instytutu Żydowskiego w Warszawie. Mógłby on im dostarczyć zdjęć z bohaterskiej obrony getta warszawskiego, z Oświęcimia i Majdanka, z deportacji i łapanek. Ale, jak wiemy, hitlerowcy takich zdjęć mają sporo. Lubili się przecież fotografować przy swoich ofiarach i niejedno takie idylliczne zdjęcie „strategiczne" zdemaskowało zbrodniarza wojennego. Dobrze by było jednak, aby panie Warren, zanim zbiorą fotoski od faszystów, przyjrzały się dobrze zdjęciom, które kiedyś ogłosili Amerykanie. Kiedyś, a przecież nie tak dawno. Narody dobrze te czasy pamiętają. Były to zdjęcia zbrodniarzy hitlerowskich, powieszonych w Norymberdze. Stryczek udusił wtedy najcenniejszych strategów Hitlera — Keitla i Jodla. Warto, aby się panie Warren pogłaskały po szyi, zanim przystąpią do zbieraniny fotek od faszystów.

„Socjaliści" boją się zwolenników pokoju bardziej niż złodziej policji. Wydawałoby się, że to nie samoloty amerykańskie, lecz Arnold Zweig wozi ze sobą bomby zapalające, że to nie uczeni amerykańscy i japońscy, lecz Piotr Nenni hoduje w kieszeniach zatrute dżumą pchły, że Pablo Neruda nie pisze natchnionych poematów, ale produkuje amerykańską literaturę kryminalno-pornograficzną, że to Jean Laffite, a nie specjaliści angielscy, ogłasza, iż przy wybuchu bomby atomowej najlepiej wypić siedem litrów wody, że to Erenburg, a nie Montgomery tworzy zachodnio - niemiecką armię faszystowską; że to Zofia Nałkowska, a nie zięć pana Priestleya bombarduje wioski Korei; że to robotnicy Sheffieldu, a nie lordowie z City zarabiają na wojnie; że to Shawowie, a nie panie Warren zbijają forsę na kupczeniu narodem angielskim... Dość.

W wiktoriańskiej Anglii sztuka Shawa o profesji mieszczki wywołała burzę sprzeciwów i protestów. W Anglii pana Attlee Kongres Pokoju zamąciłby idyllę burżuazji i socjalzdrajców. Mówiłoby się na Kongresie o groźbie wojny — i palce ludzkości wskazywałyby na zięcia pana Priestleya. Mówiłoby się o oświacie — i palce ludzkości wytykałyby imperialistów, oświetlających łuną pożarów wioski malajskie. Mówiłoby się o podżegaczach wojennych — i palcami by dotykano zbieraczy fotosów. Mówiłoby się o kulturze — i ludzkość wskazywałyby Churchilla, apostoła wojny atomowej.

„Socjalistyczny" rząd zabronił Kongresu w Sheffield. Sheffield leży w Anglii. Szczęściem, Warszawa nie leży w Anglii. Jest wielkim miastem nowego świata. Do tego świata emigruje sztuka i nauka, pokój i kultura. To miasto, z którego faszyści wywieźli może najwięcej fotosów „strategicznych", ogłosi światu Statut Pokoju.

Historia nie jest prostytucją. Historia jest walką pokoleń o wyzwolenie społeczne i polityczne, o szczęśliwe, pokojowe jutro. Historia pamięta imiona tych, którzy walczą o ludzkość i z pogardą zapomina jej wrogów. I będzie się kiedyś mówiło: „Socjaldemokraci angielscy? Ach, to były takie obłudne panie Warren z pierwszej połowy XX wieku. Masy pracujące Anglii dały im należytą odprawę"...

**Tadeusz Borowski.**

PS. 9 listopada delegacja Związku Literatów Polskich w składzie: J. Dobraczyński, J. Iwaszkiewicz, A. Tarn udała się do ambasady angielskiej i na ręce ambasadora złożyła ostry protest przeciw niedopuszczalnym dyskryminacjom rządu angielskiego wobec pisarzy polskich, delegatów na II Światowy Kongres Pokoju, który miał się odbyć w Sheffield. Zachowanie się pana ambasadora wzbudziło zdumienie delegacji pisarzy; pan ambasador bowiem użył w rozmowie ostrych niedyplomatycznych zgoła słów, „pomagając" sobie uderzeniem pięści w stół. Protestując przeciw nietaktowi pana ambasadora, delegacja pisarzy opuściła niezwłocznie gmach ambasady. Nietakt pana ambasadora usiłował zatuszować sekretarz ambasady, wypytując pisarzy o ich zdrowie, zdrowie ich rodziny i domowych piesków.

Przypominam, że autentyczna pani Warren miała jednak lepsze maniery.

**tb.**

## Z cyklu: KULTURA ZACHODU



*Stefan Brzozowski*

**„Olimpia" Maneta po amerykańsku**

# Komentarze

## *Gdzie jest królestwo Boże?*

Nad tym pytaniem zastanawiał się od pewnego czasu pastor amerykański nazwiskiem Claude Williams, założyciel i przewodniczący protestanckiego instytutu badań religijnych. Zastanawiał się długo i długo również przypatrywał się amerykańskiemu życiu, ale nigdzie nie mógł dopatrzeć się nawet zalążków królestwa bożego na ziemi amerykańskiej.

Gdy począł badać prawa swej ojczyzny, załamał po prostu ręce. Postanowił zabrać głos publicznie. Opublikował w „National Guardian" list otwarty do prezydenta Trumana, aby tą drogą dać wyraz swemu oburzeniu na wydane ostatnio ustawy. Między innymi zaprotestował przeciwko tak zwanej „ustawie Mac Carrana", „która — według własnych słów pastora — pod pretekstem antykomunizmu jest ciosem wymierzonym w godność ludzką", po czym dał niedwuznaczną ocenę wewnętrznej sytuacji politycznej Stanów Zjednoczonych.

„Nie wiem — pisał — gdzie znajduje się królestwo boże, ale praktykowana przez wasze władze moralność dowodzi niezbicie, że w każdym razie tego królestwa nie ma pośród nas."

I na końcu swego listu otwartego pastor Claude Williams zażądał kategorycznie, aby go prezydent Truman polecił wpisać na czarną listę „wywrotowców."

Metafizyka królestwa bożego na ziemi amerykańskiej swoją drogą, a popieranie komunizmu swoją drogą. Krnąbrnym pastorem zainteresuje się niewątpliwie Komisja Badania Działalności Antyamerykańskiej, o ile jeszcze do chwili obecnej tego nie uczyniła. **si**

## *Lekcja ewangelii*

W chwili, gdy remilitaryzacja Niemiec Zachodnich jest w pełnym toku, zjawił się polityk, który o tej sprawie zaczyna mówić jak ewangelista. Ton ewangeliczny w stosunku do odradzającej się Reichswehry byłby od razu zrozumiały ze strony ekshitlerowca, stosującego politykę biblijnego węża — króla podstępu. Tymczasem polityk, o którym mowa, jest Anglikiem, a nawet wysokim komisarzem dla brytyjskiej strefy okupacyjnej Niemiec. W tym urzędowym charakterze zabrał publicznie głos we Frankfurcie i oświadczył, co następuje.

„Mamy prawo być dumni z tego, cośmy uczynili dla podźwignięcia Niemiec. Nigdy jeszcze dotąd w historii ludzkości naród zwyciężony nie doznał tyle pobłażania ze strony zwycięzców. Nigdy jeszcze zwycięzcy nie zdobyli się na taki wysiłek, ażeby podźwignąć naród zwyciężony".

Piękna lekcja Ewangelii dla byłych SS-owców, którzy znowu znaleźli swe miejsce w szeregach i na czele zachodnio-niemieckich sił zbrojnych, okryci dodatkową chwałą walk w Indochinach, gdzie wielu z nich odbyło po klęsce hitleryzmu stage w charakterze najemnych żołdaków imperializmu.



Toteż musimy zrozumieć, jako się pismo niejasne wykłada, i musimy sobie jasno powiedzieć: ewangeliczna pobłażliwość wysokiego komisarza brytyjskiego nigdy by nie posunęła się aż tak daleko, gdyby to nie było interesem rządu, którego jest przedstawicielem. Bo jeszcze nigdy dotąd w historii cele zwycięzcy i zwyciężonego nie były aż tak identyczne. To pobłażliwość w rodzinie. Reichswehra jest potrzebna zwycięzcom. **si**

## *W kraju gangsterów*

Senator Kefauver, specjalista dla spraw gangsterów w Senacie amerykańskim, udzielił wywiadu przedstawicielowi United Press na temat rozwoju gangsterstwa w Stanach Zjednoczonych. Tempo tego rozwoju jest wprost olśniewające. Kefauver stwierdził, że plaga gangsterów przybrała obecnie takie rozmiary, iż czasy Al Capone'a wydają się w porównaniu z nią „dziecięcym ogródkiem". Na czele band gangsterskich stoją dziś szanowani obywatele, którzy zwołują corocznie kongres dyrektorów i prezydentów bandyckich szajek. Te zjazdy odbywane na Florydzie rozstrzygają spory pomiędzy przestępczymi organizacjami i wyznaczają tereny działania dla poszczególnych band. Zrzeszenia gangsterów pracują, zdaniem senatora, według nowoczesnych metod handlowych i mają w każdym większym mieście filie i przedstawicielstwa. Kefauver jest zdania, że zlikwidowanie gangsterstwa w Stanach Zjednoczonych wymaga przynajmniej dziesięciu lat i wielu milionów dolarów.

Senator zapomniał oczywiście dodać, że gangsterzy wywierają olbrzymi wpływ na życie polityczne w Ameryce i mają również coś do powiedzenia w zgromadzeniu ustawodawczym, którego członkiem jest sam Kefauver. Są i prezydenci, którzy zawdzięczają im swój wybór, ale bądźmy lepiej dyskretni. **ro**

## *Profesor*

Profesor Eryk Kaufmann!

O ile ktoś z czytelników nie słyszał o tym uczonym, zaspokoimy jego ciekawość na samym wstępie. Pan Kaufman został w roku 1946 zwyczajnym profesorem prawa międzynarodowego na uniwersytecie w Getyndze w Niemczech Zachodnich. W roku 1950 Adenauer zamianował go swoim doradcą politycznym w sprawach polityki zagranicznej i prawa międzynarodowego. Profesor Kaufmann objął również pieczę nad wychowaniem dyplomatycznego narybku Bizonii.



Kiedy Kaufmann wzniósł się na szczyt sławy, spłodził wielce uczone dzieło pod tytułem: „Istota prawa międzynarodowego". Jakaż to istota? W odpowiedzi przytoczymy jedną ze złotych myśli, które wylęgały się w profesorskiej głowie Kaufmanna:

„Nie wspólnota wolnych ludzi — pisze autor w rzeczonym „dziele" — lecz zwycięska wojna jest ideałem społeczeństwa: zwycięska wojna, jako droga wiodąca do wzniosłego celu. W czasie wojny ujawnia się istota państwa. Wojna jest największym osiągnięciem państwa, najpełniejszym ucieleśnieniem jego właściwości."

Przypomina się słynne zdanie Herwegha o pruskich profesorach: „Człowiek jest tak długo wolny, dopóki nie wpadnie w ręce niemieckiego profesora". **rk**

## *Rzecz o „pewnych szczegółach"*

Tymczasem upłynęły tygodnie, czytelnikowi należy się więc wprowadzenie.

Konrad Czarnocki pisał w „Tygodniku Powszechnym" (Nr. 40) o powodach, dla których ongi Żeromski nie otrzymał nagrody Nobla. Ja zaprotestowałem („Nowa Kultura", Nr. 29) przeciwko orzeczeniu, że „pewne szczegóły będą mogły być ujawnione dopiero znacznie później..." Konrad Czarnocki odpowiedział w „Tygodniku Powszechnym" (Nr. 46), że nic więcej na razie nie chce powiedzieć i że to mu wolno.



Ano, jeśli tak, to rzecz jednostronnie pozostaje na poziomie zabawy w ciuciubabkę oraz na poziomie dziecinnych przechwałek: „Mamusiu, mamusiu, ja tam coś schowałem, ale za żadne skarby świata nie powiem, co!" Sytuacja jest śmieszna. Bo ja mówię o konieczności wyświetlenia prawdy historycznej do końca, a Konrad Czarnocki o tym, że nie odda gałganków. Przy takiej dysproporcji stron nawet Salomon nie sprawowałby sądu.

Ano, jakoś dożyję do wyświetlenia tej prawdy. Przemawia za mną prawdopodobieństwo statystyczne. Poza tym zaś aż do grobowej deski nie zmienię zdania, że otaczanie się tajemniczością nie jest żadnym z rodzajów dyskrecji. To dziecinna metoda kumoszek. **si**

**JAN BRZECHWA**

## KONGRES

**W nocy trwoga w Białym Domu**
**Nie dawała spać nikomu,**
**Marshall jeździł cały blady**
**Do Trumana na narady,**
**Nawet żona Achesona**
**Przyleciała przerażona,**
**I przez kabel Attlee z rana**
**Dostał rozkaz swego pana.**

**Tak historia się zaczęła.**
**Attlee zabrał się do dzieła,**
**Westchnął głośno: „Nie jest dobrze!"**
**I łapankę zrobił w Dovrze.**
**Wyskoczyli policemani**
**Nowocześnie uzbrojeni,**
**Z krzykiem: „Boże, chroń nam króla!"**
**Jęli gości pchać do ula.**

**Krążą w porcie przerażeni**
**Uzbrojeni policemani:**
**— Gdzie Jolliot-Curie, ten zbrodzień,**
**Co o pokój woła codzień?**
**Trzymaj! Łap! W kajdany okuj**
**Tych, co walczyć chcą o pokój!**
**Niebezpieczni są poeci,**
**Matki dziesięciorga dzieci,**
**No, bo dzieci — komuniści,**
**Księża też, najoczywiściej,**
**Groźny każdy malarz, chociaż**
**Jeszcze gorszy jest robociarz!**
**A uczeni? Dobrze wie się**
**Z czym wystąpią na Kongresie.**

**Struchlał Attlee, że w Sheffieldzie**
**Gołąbeczek jest na szyldzie,**
**— „Chcieć pokoju, — ryknął Bevin —**
**To największa z wszystkich przewin!"**
**Tak to lew brytyjski ryczy**
**Na amerykańskiej smyczy.**

**Szczęściem biały gołąbeczek**
**Z dawna przywykł do wycieczek**
**Przyglądali się zdumieni**
**Uzbrojeni policemani,**
**Jak poleciał bez obawy**
**Prosto z Anglii do Warszawy,**
**Gdzie w trzy dni już był gotowy**
**Drugi Kongres Pokojowy.**

**Z wszystkich krajów i połaci**
**Przyjechali delegaci,**
**Rozpoczęły się obrady,**
**Tylko trząsł się Attlee blady,**
**Tylko trwoga w Białym Domu**
**Nie dawała spać nikomu,**
**Gdy przez radio grzmiały w mroku**
**Słowa: Paix! Mir! Frieden! Pokój!**

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 16. IV p. tel 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji, ul. Wiejska 12 Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch" Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—; kwartalnie zł 9.—; półrocznie zł. 18.—; rocznie zł. 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł. 40 gr. za 1 mm szerokości łamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń „Czytelnik". Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-717/110.

Drukarnia Nr 2 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Warszawa, ul. Marszałkowska 3,5 B-131347